№ 50. Warszawa, dnia 1 (13) Grudnia 1890 roku.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W Warszawie rocznie rs. 4, półrocznie rs. 2, kwartalnie rs. 1. **Na Prowincyi** rocznie rs. 5, półrocznie rs. 2 kopiejek 50, kwartalnie rs. 1 kop. 25. **We Lwowie** kwartalnie w miejscu złr. 2, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 2 cen. 30. **W Krakowie** kwartalnie w miejscu złr. 2, na prowincyi z przesyłką pocztową złotych reńskich 2 centów 30. **W Poznaniu** kwartalnie w miejscu marek 3, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 3 pf. 50.

Adres: Emil Skiwski w Warszawie, ulica *Chmielna Nr 26 nowy.*

OD REDAKCYI.

Przypominamy odnowienie prenumeraty na kwartał pierwszy przyszłego roku 1891, **podług ceny do połowy obniżonej** *a mianowicie:*

W Warszawie kwartalnie rs. 1.

Na prowincyi z przesyłką pocztową:

kwartalnie rs. 1 kop. 25.
półrocznie rs. 2 kop. 50.
rocznie rs. 5.

Na **Przyjaciela dzieci** *prenumerata tyleż wynosi, przy przesyłce przeto pieniędzy prosimy o doniesienie,* **na jakie pismo są przeznaczone,** *aby właściwie były przesyłane.*

Adres: Emil Skiwski, redaktor i wydawca „Tygodnika mód i powieści" w Warszawie, ulica Chmielna Nr 26.

☞ Dla „Tygodnika mód" tłómaczą się powieści p. t. **Sacrifiés** i **Toute une jeunesse** F. Coppée'go.

Z TYGODNIA.

„Szczęśliwy naród, który nie ma historyi," mówiono dawniej. Aforyzm ten każe mniemać, iż błogim również musi być tydzień, pozbawiony treści, rozkosznym zaś nad wyraz „sezon," umiejący życie, jakie zwykle wrzało i kipiało u nas o tej porze, zamienić na drzemkę tak przeciągłą, że się ona bodaj w chroniczną przeistacza ospałość. Szczęśliwy tydzień, o którym... niema nic do powiedzenia; a jednak ja mu, zaiste, szczęścia tego nie zazdroszczę tak, jak nie zazdroszczę go wystawionym świeżo u Krywulta „Niemym w seraju," którzy dlatego milczą, że im wpierw wyrwano języki. Dla nas cennym takim organem mowy było życie umysłowe, poderwane jednak przez ciężkie czasy i cały szereg ubocznych względów, uległo silnej bezkrwistości; zwykłym zaś skutkiem tej ostatniej, bywa sen i apatyczna bezczynność. Drzemiemy więc dziwnie, budząc się tylko na krzyk, reporteryą przeciw zbrodni wydany. Rozzuchwalona też rolą przemożną, jaką jej tej jesieni wyznaczono, wciska się krwawem echem do najcichszych kółek rodzinnych i, jak gadatliwa kumoszka, miejsce przy ich ognisku zabiera.

Czy najdrobniejsze szczegóły wstrętnych mordów, w atmosferze tej roztaczane, zdrowe w niej sieją pierwiastki, wątpimy. Przewaga też reporteryi, drażniącej i wyrywającej złe instynkta, a tak rozwielmożnionej, iż od kilku tygodni przytłumiła sobą wszystkie inne sprawy, dziś, gdy zapowiada nam już, w sensacyjnych półsłówkach, nowy proces skandaliczny, powinnaby zwrócić uwagę kierowników opinii. Nie bądźmyż jak „Niemi w seraju," którzy, pozbawieni języka, milczą apatycznie, by na widok krwi tylko dziki wydawać okrzyk.

— A, pan dobrodziej piszesz kronikę! — zabrzmiał w tej chwili obok mnie głos znajomy.—Bardzo się cieszę, że w porę przyszedłem.

Zrywam się i staję oko w oko z Gapciem Wścibskim, zacności chłopcem, a moim wielkim przyjacielem. To też ów groźny „pan dobrodziej" zdziwił mię tem bardziej, iż obok Gapcia stał jakiś poważny dżentelman, z uroczystą miną i plikiem papierów w ręku.

— Panowie się nie znają?—przedstawiał Wścibski. — Prezes Filantropowicz, a to—wskazał gniewnie ręką — kronikarz „Tygodnika," szkodzący rozmyślnie wdowom, sierotom, kalekom, starcom, paralitykom, nędzarzom...

— Litości! — przerwałem, — zkąd podobny zarzut?

— Szerzycie panowie w „Tygodniku" egoizm, paraliżujecie najlepsze chęci! — zabrał głos uroczysty dżentelman.

— My? My szerzymy egoizm? Oto co się nazywa *faire de la prose sans le savoir.*

— Panie Wścibski, wytłómacz myśl moję — polecił prezes z godnością.

— A więc ci powiem, bo jako przyjaciel mam wszelkie do tego prawo, że się zminąłeś z powołaniem. Powinieneś był zostać kaznodzieją, lecz nie felietonistą. Do kwakrów idź, mój drogi, do metodystów, tam przyjmą może ciągłe nauki i moralne

napomnienia; my tu nie jesteśmy ich ciekawi. Jeżeli nie masz lekkości i humoru, co, niestety, aż nazbyt staje się jasne...

— Ależ, mój drogi!

— Proszę cię, nie zżymaj się. Jako twój przyjaciel, mam właśnie prawo mówić ci rzeczy nieprzyjemne w oczy, to moja wyższość nad innymi. Otóż jeżeli nie masz lekkiego humoru, chwytaj za ostrą satyrę i chłostaj śmieszności, ale nie tykaj spraw dobroczynnych, bo skoro będziesz, jak to zrobiłeś w zeszłym numerze, zniechęcał ludzi złośliwie do naszych bali, rautów, gwiazdek, maskarad, to prosimy, abyś nam wskazał inne fundusze, na utrzymanie instytucyj, które tysiącom łzy niedoli ocierają.

— Oto rachunki osiągniętych przez zabawy rezultatów i odezwa do panów z prasy, przez komitet nasz podpisana — wtrącił Filantropowicz, podając mi zwój papieru.

— Wy nie wiecie sami, czego chcecie — ciągnął tymczasem „mój przyjaciel." — Mówiąc o zabawach dobroczynnych, raczyłeś zrobić przytyk do Lapończyków.

— Nie lubię miłosierdzia w szatach arlekina.

— A lubisz, by ludzie z głodu marli, lubisz, by towarzyskość upadała? To trudno, czasy ciężkie, filantropią zaś podtrzymuje tylko klasa średnia; osobno nikt nie da zasiłku dla kilku instytucyj dobroczynnych, bo go na to nie stać, tak jak go nie stać na przyjęcia u siebie. Młodzież jednak zabawić się i zbliżyć potrzebuje, każdy więc, za grunt neutralny a niekosztowny, chętnie procent na ubogich składa.

— Czyż niema innego, mniej wstrętnego sposobu? — zacząłem.

— To go wymyśl i w czyn wprowadź — przerwał mi szorstko. — Tymczasem zaś nie zrzędź, nie marudź, bo to nie twoja rola. Tu ludzie, jak prezes Filantropowicz, całe życie poświęcają niesieniu pomocy ubogim, a wy, zamiast wynaleść lepsze środki ku temu, wytrącacie im i te z ręki, zniechęcając ku nim kobiety. Jesteście jak bezmyślne pozytywki, na tę samę wiecznie nakręcone nutę. Dzięki naszej długoletniej przyjaźni, mogę ci to powiedzieć.

Nie przekonał mnie bynajmniej; niemniej, pod naciskiem tej przyjaźni, traktowanej jako plaster drażniący, przyrzekłem zachowywać się neutralnie wobec filantropii w pląsach, o innej zaś życzliwe nawet czynić wzmianki.

Współudział kobiet w opiece nad zwierzętami, o którym wspominaliśmy już żartobliwie, przybrał cechy zupełnie poważne. W tych dniach bowiem ukonstytuowało się osobne „Stowarzyszenie dam," które wobec tylu innych pól, leżących odłogiem, niezbyt wielką, coprawda, przejmuje nas radością. Cenimy zwierzęta, lecz więcej kochamy ludzi. Złe położenie sług na przykład, dwukrotnie wytaczane znów przed forum publiczne, nie zasłużyło równocześnie na uwagę pań naszych.

Władza tylko, chcąc ukrócić nadużycia, ustanawia rządowy kantor stręczeń i nową kontrolę, zacny zaś dobroczyńca, pan M., zapisał 25,000 rs. na założenie pod miastem domu przytułku dla zestarzałych inwalidów pracy domowej. Czyn to szlachetny i godny naśladowania, ale dla ogółu sług niewystarczający. Jakby więc ładnie było, gdyby nasze wpływowe damy, o ile im czasu od opieki nad zwierzętami zostanie, zechciały ująć w swe rączki inicyatywę w sprawie kasy przezorności dla swych białych Murzynek. Ale prawda, nauczony przez Wścibskiego, miałem przecież nie marudzić... *Mea culpa*; przestaję już i za karę gotów jestem, wraz z nowym utworem Kościelskiego, „Na kolanach" wielbić wszystkie kobiety. Nie będzie to podziw, nakazany przez poetę tylko, lub romantyczny tytuł jego utworu. Przeciwnie, w hołdzie tym znajdą swoję cząstkę wszystkie, które dobrą i zacną pracę usilnemi staraniami naprzód posuwają. A więc obejmie on zarówno inicyatorki kasy przezorności i samopomocy dla sług, jak królowę Carmen Silva, mającą wystawić w Wiedniu piękny swój dramat „Mistrz Manoti," lub p. Krajewską, która po mozolnych studyach została świeżo mianowana asystentką profesora Schiff'a w Genewie.

Anatol.

Kwestya emigracyi w kobiecem oświetleniu.

Wychodźtwo do Brazylii. Potrzeba oświaty ludu. Co kobiety mogą zrobić na tem polu? Nauka czytania z „Faceta."

Kiedy szum, tartas i wrzawa, jakie się kotłowały po dziennikach, już teraz trochę przycichły, spokojniej nieco i z pewnego oddalenia, co, jak wiadomo, korzystnie wpływa na proces obserwacyi, przyjrzeć się możemy tej sprawie i podumać nad tem, jak to różni ludzie z rozmaitych punktów zapatrują się na ten objaw doniosłości społecznej.

— Alboż kobiety interesują się czemkolwiek, co nie ma związku bezpośredniego z kwestyą mody, albo miłości?... — wykrzyknie niejeden zacofany pesymista.

— Bezwątpienia! Kobiety, stanowiąc większą połowę społeczeństwa, domagając się uznania siebie za samoistne jednostki, czując się obywatelkami swojego kraju, obowiązanemi odczuwać interesy ogólne i czynnie przykładać do nich rękę, kobiety nasze, a przynajmniej większa ich połowa, interesują się każdym objawem życia społecznego. Ta zaś część druga, zatopiona w kłopotach życia codziennego i pracy na chleb powszedni, powinna rozbudzać w sobie te uczucia, wybiegając myślą nad ciasne kółko spraw osobistych.

Ale do rzeczy, t. j. do kwestyi emigracyi w naszej prasie.

Prus zbytnio się nią nie martwi, uważając ją za objaw, powtarzający się systematycznie po wszystkie czasy, we wszystkich społeczeństwach, począwszy od kolonii greckich nad morzem Śródziemnem.

To tylko smutne, że emigrantów czeka za morzami nędza i wyzysk, że Żydzi spekulanci zarabiają na ich ciemnocie i łatwowierności, raz: kupując za bezcen chudobę i rolę, drugi raz: za swoje usługi przewodników, wreszcie za koszta transportu.

To tylko smutne, że sprawa ta wykazała jasno ciemnotę ludu i nieufność jego do naturalnych przewodników, jak dwór i plebania, które, z małemi wyjątkami, pozostały bezsilne pomimo swych starań, wobec sprytu i czelności agentów, obiecujących otumanionym złote góry za morzami.

Sama słyszałam, będąc teraz na wsi, jak baby wiejskie z zachwytem rozpowiadały o skarbach brazylijskich. „Aby ino mieć przetak: co się zgarnie w niego piasku z pola i przesieje, to garść brylantów ostanie na spodzie! A drzewa tam takie, że przebij ino korę, a śmietana sama ciurkiem leci w gębę!"

Wobec nieszczęść ogólnych i wogóle wobec faktów doniosłego znaczenia, obchodzących społeczeństwo, wszystkie sfery i wszystkie stronnictwa powinny podać sobie ręce do wspólnego działania. Racye osobiste upadają, kiedy idzie o interes społeczeństwa, lub pewnej jego warstwy.

A teraz jeszcze jedno.

Czy jest co w całej tej sprawie, coby specyalnie bezpośrednio nas, niewiasty, obchodzić mogło?

Bezwątpienia!

Jest tam punkt jeden. Jak wiadomo, jedną z przyczyn sprzyjających prądowi emigracyjnemu jest ciemnota ludu, któremu można wmówić najcudaczniejsze baśnie, aby tylko umieć trafić w jego słabą stronę.

Otóż kobieta, na jakimkolwiek szczeblu społecznym żyjąca, zawsze jest w możności przyłożyć rękę do oświaty ludu, nietylko rozdawaniem dzieciom wydawnictw Promyka, jak to się często praktykuje, ale własną pracą.

— A to w jaki sposób? — zapytasz, miła czytelniczko.

— W bardzo prosty.

Jeśli mieszka pani na wsi, to pełno ma dokoła siebie małych istot pyzatych, rumianych, o lnianych główkach i habrowych oczętach, „w koszulinach, zawsze bosych, przepasanych wązką krajką," które, wedle słów poety „Bóg wie, gdzieby szły za bajką."

Istoty te rozliczne funkcye spełniają koło dworu: pasają gęsi albo „dziubaki," pilnują prosiąt, znoszą do kuchni wióry z podwórza i t. p. Dosyć, że zawsze masz ich na oczach, piękna czytelniczko.

Otóż, zamiast zajmować się mozolną jaką wstawką z miniardizy, psuć oczy czytaniem błahych romansów, albo wyglądać przez okno, czy czasem goście nie jadą, weź w opiekę jednę choćby taką napół dziką istotę ludzką! Poświęć jej tylko małą godzinkę dziennie, zużywając ją na zapoznanie ciemnej głowiny z pożytecznemi wiadomościami, na naukę czytania, na wpajanie zasad czystości, porządku, poczucia obowiązku i własnej godności. To jakbyś stworzyła człowieka!

Mieszkanki miasta taką samę mają sposobność i taki sam obowiązek. To jest właśnie przyczynianie się do oświaty ludu, to obowiązek obywatelski, do którego poczuwać się powinna każda z was, piękne panie, mająca trochę wolnego czasu.

Nie mówię o kobietach, cały dzień zajętych pracą dla zarobku. Te, siły i czas zużywając w ciężkiej walce o byt, nie mogą nowych ciężarów przyjmować na swoje strudzone barki.

Znam pewną osóbkę w Warszawie, która zawsze umie sobie znaleźć taki okaz, podatny do przyjmowania oświaty.

Kiedyś uczyła ośmioletniego chłopczyka, synka stróża miejscowego. Malec był bardzo zdolny, wyborną miał pamięć i odznaczał się szczególną niepodległością umysłu w dysputach filozoficznych, jakie czasem miały miejsce podczas lekcyi.

Kiedyś, gdy nauczycielka, z przejęciem wykładała mu zasady religii, opowiadając o Bogu, że się znajduje wszędzie: w niebie, na ziemi i na każdem miejscu i zewsząd patrzy na człowieka, malec nagle wykrzyknął:

— Ja tam nie wierzę w Pana Boga!

— A to dlaczego? — zawołała zdumiona propagatorka oświaty.

— Bo Go nie widzę! — odparł węzłowato mały materyalista.

I niechże kto powie, zkąd w ciemnej izdebce stróża, wśród otoczenia, zajętego wyłącznie najpo-

wszedniejszemi sprawami żywota, zkąd się rozwinął taki kierunek w tej małej łepetynie, i jeśli będzie zostawiony sam sobie, bez moralnego przewodnika, co z niego wyrośnie?

Dobre chęci niezawsze wystarczają do racyonalnego przeprowadzenia idei oświaty, potrzeba tu również pewnej kompetencyi; potrzeba umieć wybrać odpowiednie podręczniki, albo kogoś prosić o wybranie.

Zaraz przytoczę dowód przekonywający, że to co mówię ma racyą za sobą.

Wspomniana przezemnie osóbka, ze zmianą mieszkania, ma obecnie uczennicę w osobie małej córeczki miejscowego stróża, umiejącej już trochę czytać, dzięki dobrej woli którejś z lokatorek tego domu.

Otóż na jednej z początkowych lekcyj spytała ją panienka, czy nie umie czasem jakiej bajeczki?

— O, i nie jedną! — z dumą odparło dziecię i zaczęło jednostajnym głosem trzepać swoje wiersze.

Nauczycielka jej oniemiała.

Dziecko recytowało, wyuczone na pamięć jak papuga, jeden z tych wierszyków humorystycznych, których w towarzystwie młodych panienek... czytać-by było niepodobna.

— Z jakiejże książki uczyłaś się czytać?

— Z „Faceta," proszę pani — odparło z prostotą dziecię, nie domyślając się nawet efektu, jaki ta odpowiedź wywarła.

Poczwarka.

PIERWSZY BAL.

(WIZERUNEK Z NATURY.)

PRZEZ

CHMURKĘ.

(Dalszy ciąg.)

W tej chwili wszedł ojciec.

— A jadłaś już kolacyą? — zapytał, patrząc na mnie z widocznem zadowoleniem.

— Ależ, proszę tatusia...

— Nie chce nic do ust włożyć — skarżyła się mama z drugiego pokoju, — mówi, że nie może.

— Pewnieś się zanadto ścisnęła — mówił ojciec, patrząc na mnie i próbując wsunąć palec za atłasowy pasek.

— Ależ... —zaprotestowałam, wciągając w siebie oddech, żeby zwolnić stanik.

— No, no, wy wszystkie takie... wolicie cały dzień nie jeść, żeby tylko jedna od drugiej choć o jeden centymetr mogła być cieńszą w stanie.

Truchlałam żeby ojciec nie kazał mi się rozsznurować, ale on tymczasem wyszedł i po chwili przyniósł mi na talerzu ogromny cielęcy kotlet.

— Zjedz mi to zaraz.

— Kiedy, proszę tatusia...

— Niema żadnego kiedy... zjedz, potem napijesz się herbaty i dopiero pójdziemy.

Z ojcem nie było replik, dławiłam się jak mogłam, a tu tony walca dochodziły aż do mnie; byłam jak na mękach. Na szczęście panna służąca przyszła z wiadomością, że pan Władysław przyszedł ze ślicznym bukietem, pewnie dla panny Muszki.

Ojciec odwrócił głowę, a ja równocześnie wsunęłam jej kotlet do ręki, udając, że ostatni połykam kawałek.

W tej chwili ktoś zapukał, pytając:

— Czy można?

— Możesz, możesz wejść, Władziu, Muszka już ubrana.

Mimowoli szarpnęłam za rękę służącą, żeby mi zarzutkę podała; pierwszy raz w życiu w obnażonych ramionach miał mnie widzieć ktoś obcy, ale nim ona zdążyła przynieść z drugiego pokoju, pan Władysław z bukietem ukazał się na progu.

— Ależ to zjawisko! — zawołał wesoło, podając mi wiązankę z prześlicznych róż białych.

Wyciągnęłam rękę po nie, dziękując mu szczerze.

— Wygląda pani, jak...

— No, no — przerwał ojciec, przyglądając nam się z przyjemnością,—nie sil się na porównania, lepiej wymyśl co, żeby Muszka przeszła suchą nogą, bo tam podobno kropi...

— To się zrobi...

— Już to miło mieć córki! — wyrzekał ojciec,— szczególnie gdy deszcz pada i koni nie można dostać.

— Jabym chętnie... - rzekł pan Władysław, robiąc ruch komiczny, jakby mnie chciał przenieść, ja tymczasem, zażenowana pod jego spojrzeniami, wyczekiwałam niecierpliwie okrywki.

Nareszcie mi ją podano.

— Mogłaś prędzej mi przynieść — rzekłam do służącej rozgniewana opóźnieniem, które było powodem mojego zmieszania.

— Kiedy, proszę panienki, pani mi kazała pudrować siebie...

— Karolino!—zawołała mama, wchodząc zupełnie ubrana, — podaj mi kalosze.

— Muszko, czyś gotowa?

— A już, już, mamusiu — i otuliłam się starannie.

— Masz chusteczkę, wachlarz? — pytała mama dalej, oglądając mnie na wszystkie strony.

— Mam nawet i śliczny bukiet! — zawołałam wesoło, pokazując jej kwiaty.

— Jaki piękny, jaki pan grzeczny! — mówiła mama, podając mu rękę.

— Panno Muszko — rzekł pan Władysław, widząc, że teraz zabieramy się już do wyjścia, — pani rzeczywiście nie możesz w tych białych trzewiczkach przejść po mokrych deskach; trzeba koniecznie coś wymyśleć.

— Ale co? — byłam zakłopotana, — kalosze powalałyby więcej niż ochroniły atłasowe pantofelki.

Mama z ojcem się naradzali, a pan Władysław zawołał, uderzając się w czoło ręką:

— Mam, wie pani co? ojczulka skarpetki.

Roześmiałam się w głos, aż mama zawołała:

— Muszko!—projekt się jednak podobał i wkrótce, odwróconej do ściany, wciągano mi na nogi brzydkie futerały.

— Tylko czy nie nowe? — wołał ojciec już ze schodów, nie mogąc się nas doczekać.

— O nie, nie — zaręczałam, — najgorsze ze wszystkich.

Młody człowiek patrzył na to z rozweseloną twarzą.

— Jak te maleńkie nóżki, jak u kopciuszka, nikną w tych bezdennych przepaściach.

Po chwili, uczepiona u jego ramienia, zeskakiwałam ze schodów po trzy stopnie naraz, oglądając się ostrożnie, żeby mama nie widziała, która schodziła za nami.

— A ładnie wyglądasz — zawołał ojciec, śmiejąc się. — No, teraz idź ostrożnie, żebyś nosa nie zbiła, przystępując końce u długich skarpetek.

Spuściłam oczy i przy świetle latarni zobaczyłam swoje nogi powiększone i rozszerzone; wyglądało to bardzo brzydko.

Ach, żeby już raz być w sali! pomyślałam, wzdychając.

Szliśmy tak ostrożnie pod jednym parasolem, ojciec z mamą za nami, a deszczyk sobie kropił.

Od wszystkich domów do restauracyi, w której bal się odbywał, porozciągano deski, żeby łatwiej panie przejść mogły suchą nogą; gdzieniegdzie światełka w oknach świadczyły o niewykończeniu niektórych tualet, a tam... o kilkadziesiąt kroków ów pałac zaczarowany, cel kilkodniowych moich pragnień, zapraszał nas gościnnie szeroko otwartemi podwojami, setkami świec jarzących i czarującą melodyą walca...

Pulsa tętniły mi w skroniach, serce biło coraz głośniej w piersiach, a ja pocichutku szeptałam sobie pacierze.

— Panno Muszko, co pani ustami tak rusza? — zapytał młody człowiek, patrząc uważnie na mnie.

Lubiłam go bardzo, ale tak po koleżeńsku, gdy tylko nie patrzył na mnie owem długiem spojrzeniem, więc przyznałam się szczerze.

— Co, pacierz! — zawołał, śmiejąc się — więc ciesząc się tak bardzo, równocześnie się pani boisz?

— Tak, boję się troszeczkę, ale zato jak ja się cieszę!... o, jak ja się cieszę, nie umiem nawet tego wyrazić!

Przycisnął moje ramię i zapytał przyciszonym głosem, patrząc na mnie tak, jak wtenczas... tam w lesie...

— Co ja za to dostanę?

Pomimo, że tony walca dochodziły coraz wyraźniej, spłoszyłam się tak, jak wtenczas i nie wiedziałam co odpowiedzieć.

— Co ja za to dostanę? panno Muszko — powtórzył, nachylając się ku mnie.

(Dokończenie nastąpi.)

Z dziedziny nauki i wynalazków.

Warunki meteorologiczne pustyń, zwłaszcza Sahary. Obłoki świecące. Olbrzymi wąż. Inteligencya szympansów. Zużytkowanie spadku Niagary.

(Dokończenie.)

W kilku latach ostatnich spotykają się w pismach peryodycznych, poświęconych naukom przyrodniczym, wiadomości o nieznanem dawniej zjawisku meteorologicznem, któremu nadano nazwę *obłoków świecących.* W Anglii nazywają je ściślej nocnemi obłokami świecącemi.

Aby czytelnikom naszym dać wyobrażenie o tem zjawisku, przytaczamy poniżej jego opis, podany przez p. Raymond, który obserwował je w Achères we Francyi 20 Lutego 1889 roku.

O godzinie szóstej wieczorem niebo było przesłonięte lekkim obłokiem pierzasto-warstwowym, pod którym ciągnęło się kilka pasów obłoków kłębiastych. Ponieważ może nie wszyscy czytelnicy są obznajmieni z naukowemi nazwami obłoków, robimy w tem miejscu mały nawias, dla wyjaśnienia użytych powyżej określeń. Oto rodzaje obłoków:

1) *Pierzaste*, utworzone z bardzo delikatnych, już to kreskowych, już kłaczkowych lub pierzastych włókien, które po zupełnej pogodzie ukazują się najpierwsze na czystem dotąd niebie.

2) *Kłębiaste*, wielkie masy półkuliste, zdające się spoczywać na poziomej podstawie, które występują głównie w lecie i częstokroć gromadzą się w malownicze grupy, wyglądające przy oświetleniu słonecznem niby oddalone góry śnieżyste.

3) *Warstwowe*, są to smugi poziome, ukazujące się przeważnie przy zachodzie słońca i wtedy zazwyczaj w całym przepychu świetnych kolorów.

Te trzy główne postacie często w najrozmaitszy sposób przechodzą jedna w drugą i dają początek kształtom mieszanym, mającym także swoje nazwiska. I tak bywają obłoki pierzasto-kłębiaste, mające postać drobnych białych i okrągłych chmurek, które Niemcy nazywają barankami; pierzasto-warstwowe, powstające ze złączenia pojedynczych obłoczków pierzastych w smugi znacznej długości, a w pobliżu poziomu w szerokie i rozległe warstwy; wreszcie kłębiasto-warstwowe, powstające z zagęszczenia kłębiastych; zaciągają one często niebieskawo-czarną barwą cały widnokrąg i przechodzą w prawdziwe chmury deszczowe.

Otóż w jednej z warstw owego obłoku kłębiasto-warstwowego, znajdującego się ponad poziomem w zachodniej stronie nieba, Raymond spostrzegł jakby przerwę jaśniejącą mocnem światłem fosforycznem; był to właśnie obłok świecący. Przypatrując się baczniej temu zjawisku, powziął on przekonanie, że jest-to zwyczajny, tylko mocno oświetlony obłok pierzasty, widziany przez szczelinę, będącą w kłębiasto-warstwowym.

Szczelina trwała przez godzinę, odmieniając nieco postać i wielkość, a światło jej było białe, fosforyczne, dające się porównać pod względem swojego natężenia z blaskiem księżyca, przeglądającego z poza lekkiego obłoku. Ale księżyc jeszcze nie weszedł, a żadna gwiazda jaśniejsza nie znajdowała się podówczas w tej stronie nieba, słońce zaś stało tak nizko nad poziomem, że jemu nie można było w żaden sposób przypisać takiego oświetlenia obłoku.

Zjawisko opisane przez Raymonda było widzialne przed zachodem słońca i to w zimie; wszystkie inne opisane wypadki wydarzały się zawsze w nocy i w lecie, najczęściej w Czerwcu i w Lipcu, na północnej lub północno-zachodniej stronie nieba.

W angielskiej „Nature" znajduje się kilka doniesień o obserwowaniu świecących obłoków nocnych w Lipcu bieżącego roku. W Belfaście widziano je 4 Lipca i tegoż dnia w Aberdeen.

Najciekawszą jest wiadomość z Niemiec, gdzie Jesse potrafił oznaczyć wysokość obłoków świecących. W tym celu w dwóch miejscowościach, Nauen i Steglitz, oddalonych od siebie o 35 kilometrów, robiono jednocześnie obrazy fotograficzne świecącego obłoku, w dniu 2 Lipca b. r. Z porównania tych obrazów, bardzo do siebie podobnych, wypadło, że wysokość obłoku wynosiła 80 kilometrów! W tej ogromnej wysokości nie może być w naszej atmosferze nic podobnego do zwyczajnych obłoków, zkąd wynika, że obłoki świecące są zjawiskiem zupełnie odrębnej natury. Czem one są, dotąd nie wiemy, nie wiemy również, czy świecą światłem własnem; czy też są oświetlone przez jakie ciało niebieskie.

* * *

W roku 1889 wąż potwornej wielkości, ostatni potomek rasy pospolitej niegdyś na wyspie Trinidad, zaliczonej do małych Antyllów, która to rasa jest tam znaną pod miejscową nazwą Illuillias, wywoływał wielki popłoch pośród mieszkańców tej wyspy.

Wąż rozpoczął swoje spustoszenia w Lutym, w kantonie Arima, wokoło górzystych lasów, leżących na północy.

Zpoczątku ginął drób i mniejsze zwierzęta domowe, potem osły, muły i konie. Kiedy wreszcie olbrzymi gad zaczął napadać na dzieci, mieszkańcy urządzili na niego obławę, która po kilkodniowych poszukiwaniach dotarła do jaskiń, zwanych Guachard. Gdy się zbliżono do stawu, znajdującego się w ich wnętrzu, psy poczęły dawać oznaki niezmiernego przestrachu i nie chciały iść naprzód. Wkrótce potwór wzniósł głowę ponad wodę, a przywitany salwą ze wszystkich strzelb, rzucił się na brzeg i po krótkiej walce padł na ziemię nieżywy. Miał on 47 stóp długości i półtrzeciej stopy szerokości; w ciele jego znaleziono szczątki pożartego jelenia. Wypchana skóra została przesłaną do głównego miasta Puerto de España, dla wystawienia jej w ratuszu. Powyższa wiadomość zaczerpnięta jest z „Année scientifique" za rok 1889.

* * *

W najnowszej książce Stanleya o Afryce, znajduje się bardzo ciekawy, choć mało prawdopodobny szczegół, tyczący się inteligencyi szympansów. Stanley podaje go na podstawie opowiadania Emina paszy, które za nim przytaczamy, a mają to być własne słowa Emina:

„Las Msongma zamieszkały jest przez liczne plemię szympansów, które często przychodzą latem na plantacye stacyi Mswa wcelu rabowania owoców.

„Dla oświetlenia drogi używają one pochodni. Sam byłem tego świadkiem, inaczej nie uwierzyłbym nigdy."

Co o tem myśleć? Z jednej strony Emin jest biegłym przyrodnikiem i trudno go posądzać o lekkomyślne podanie źle zaobserwowanego i niesprawdzonego faktu. Z drugiej wiadomo, że ma on krótki wzrok, mógł więc dzieci krajowców lub ludzi z plemienia karłów wziąć za szympansy. Ale czy można przypuścić, żeby spotkawszy fakt tak nadzwyczajny, nie wezwał kogoś ze swoich do sprawdzenia go? A może tylko zażartował sobie ze Stanleya i wyprowadził go wpole?

Nie mogąc, przynajmniej do czasu, przyjąć wiadomości wydrukowanej przez Stanleya za fakt, któryby były najważniejszym ze wszystkich, podanych w jego książce, gdyby się okazał prawdziwym, przytaczamy tu jednak rzeczywisty dowód wielkiej pojętności szympansów.

Oto jedna z tych małp pełni obecnie na drodze żelaznej w Natal, wprawdzie pod kierunkiem ludzkim, obowiązki oficyalisty podającego sygnały.

* * *

Niedawno spółka kapitalistów amerykańskich nabyła znaczną przestrzeń ziemi na brzegu Niagary, należącym do Stanów Zjednoczonych, nieco powyżej wielkiego wodospadu, i zamierza wystawić na niej młyny, poruszane siłą wodospadu.

Rzeka spada obecnie z wysokości 200 stóp; otóż obliczono, że jeżeli zużytkować tylko 4% spadającej z tej wysokości ilości wody, to po odtrąceniu już wszelkich strat nieuniknionych, przy zastosowaniu pozyskanej siły, wyniesie ona jeszcze 120,000 koni parowych.

W tym celu część rzeki powyżej wodospadu ma być odprowadzoną do krótkiego kanału, z którego woda będzie spadała pionowo na turbiny, umieszczone wdole, a następnie odpływała do rzeki poniżej wodospadu, przez tunel w pobliżu miasta Niagary. Część siły wodnej ma być przeniesioną do ważnego miasta rękodzielniczego Buffalo, odległego o 18 mil od wodospadu.

Zamierzone przedsiębiorstwo ma przed sobu trudne i ważne zadania mechaniczne. Potrzeba będzie budować motory bezprzykładnych wymiarów, zastosowane do zupełnie nowych warunków, a zarazem obmyślić najdogodniejszy sposób przeniesienia pozyskanej siły na odległość. Dziś, dla przeniesienia działania siły na znaczną odległość, używają się rozmaite metody, jakoto zapomocą lin drucianych, jak w Szafuzie (wodospad Renu w Szwajcaryi), lub zapomocą ściskania powietrza, jak na przykład w Paryżu; w Szwajcaryi i Ameryce stosuje się często z powodzeniem pośrednia zamiana siły spadających wód na siłę elektryczną. Dla zrobienia najlepszego wyboru metody i roztrząśnięcia nastręczających się pytań, utworzyła się, za staraniem spółki, komisya międzynarodowa, pod przewodnictwem znakomitego fizyka W. Thomsona, w której zasiadają największe powagi naukowe i techniczne Francyi, Włoch i Stanów Zjednoczonych. Jest więc rękojmia, że to olbrzymie przedsięwzięcie zostanie wkrótce pomyślnie urzeczywistnionem.

W. S.

PAMIĘTNIKI KSIĘŻNICZKI ARABSKIEJ.

PRZEZ

Emilią Ruete.

(Dalszy ciąg.)

Wielkie podwórze wiejskiej rezydencyi sułtana było tak wrzawliwe, że w porównaniu z niem podwórzec w Bet-il-Mtoni mógł ujść za świątynię spokoju i ciszy. W jednym rogu mieściła się rzeźnia, rzeźnicy zarzynali zwierzęta według przepisów muzułmańskiej religii, powtarzając za każdem uderzeniem formułkę: „W imię Boga Miłosiernego." W przeddzień świąt i uroczystości krew ofiar rozlewała się jak krwawa sadzawka, budząc niewypowiedziane obrzydzenie w Hindusach, przybyłych za interesami. Trochę dalej gromadziły się małe dzieci z piastunkami, Murzynkami po większej części, które im opowiadały okropne historye o strachach. Jeszcze dalej była kuchnia, urządzona pod gołem niebem, i wtem miejscu sypało się najwięcej policzków. Popychano się, szturchano, bito, a wychodziły ztamtąd uczty, wobec których europejskie festyny są tylko zabawką. Woły, kro-

wy, barany, kozy i gazelle piekły się tu w całości.

Można było widzieć ryby tak wielkie, że dwóch Murzynów zaledwie było wstanie je podnieść. Drobne ryby kupowały się na kosze, drób na tuziny. Mąka, ryż i cukier liczyły się także na wielkie ilości, na worki, a masło, które sprowadzano z północy w stanie płynności, wydawało się dzbanami. Całe szeregi tragarzy znosiły i wysypywały na ziemię owoce z wielkich koszów, a połowa owoców gniotła się przy wysypywaniu. Na każdym kroku pełno balwierzy, praktykujących pod gołem niebem, nosiwodów, eunuchów; przyjezdni torowali sobie jak mogli drogę, lecz dobiwszy się do wielkich schodów, zastawali tam nieraz natłok tak wielki, że potrzeba było półgodziny czasu na dojście do pierwszego piętra.

Wybiła nareszcie uroczysta godzina, stanowiąca o całorocznych strojach. Chmara eunuchów znosi pakunki, ogólny niepokój ogarnia wszystkich. Nakoniec każdy otrzymuje swoję część; krzyk, płacz, śmiech rozlegają się wokoło, pytania krzyżują się, rozwijają pośpiesznie pakiety. Ożywienie wzrasta, bo zaczyna się teraz wymiana materyj, frendzli, koronek, na inne przedmioty, dla urozmaicenia posiadanych skarbów. Ziemia zarzuconą jest sztukami materyj, siedzącemi w kuczki kobietami uzbrojonemi w nożyczki i krającemi z takim zapałem, że często nadcinają swoje ubrania. Urazy i rozpacze wybuchają w słowach, których nic niemiarkuje i dobrze jeżeli po upływie dwóch tygodni harem odzyska zwykłą swą fizyognomią.

Sułtan rozdaje dary przy końcu wielkiego postu. Jak wiadomo, Ramazan trwa trzydzieści dni, przez ciąg których niewolno jeść, dopóki słońce jest na niebie. „Wolno wam jeść i pić — mówi Koran, — aż do chwili, kiedy zdołacie odróżnić nitkę białą od czarnej; wtedy powinniście się wstrzymać od jedzenia aż do nadejścia nocy.” W Zanzibarze strzał armatni oznajmia corano wiernym tę chwilę.

Każdy — objaśniają pamiętniki — przestaje jeść natychmiast. Ten kto wziął szklankę, ażeby ugasić pragnienie, stawia ją, nie pokosztowawszy.

Do samego wieczora dobry muzułmanin „nie powinien nawet śliny połykać umyślnie.” Pod tem płomiennem niebem pozbawienie się wody przez czternaście lub piętnaście godzin niemałem jest umartwieniem.

Z postem u mahometanów dzieje się to samo, co z postem u chrześcian. Bogaty wchodzi w układy z niebem, bo i post może być smaczny i obfity. Wyższe klasy społeczeństwa w Zanzibarze urządzają sobie karnawał podczas Ramazanu. Niewolnicy i pospólstwo pości i pracuje, nie ścierpianoby ażeby nieszczęśliwy murzyn, niewyznający mahometańskiej religii a znojący się od rana do nocy nad ciężką pracą, zgorszył wiernych, pijąc wodę. Bogaci zato śpią w dzień a ucztują w nocy, w haremach Sedżid-Saida noce przepędzały się rozkosznie.

O zmroku rozpoczynały się uczty lekką wieczerzą z owoców złożoną, po której następował obfity obiad będący wstępem do jedzenia, trwającego aż do świtu. Śpiewaczki śpiewały monotonne pieśni, deklamatorki recytowały poezye słuchaczom, którzy ani na chwilę nie przestawali jeść i pić. O północy strzał armatni był hasłem dla całej armii kucharzy i kuchcików, rozpalano ognie na podwórcu i zapachy kuchenne rozchodziły się po galeryach, oświetlonych mnóstwem kolorowych latarni. Pomiędzy trzecią a czwartą rano podawano wieczerzę, zwaną suhur. Piastunki budziły dzieci uśpione na matach i sofach i wszyscy zasiadali do jedzenia; dopiero strzał armatni zatrzymywał niedoniesione do ust kąski w pół drogi. Harem opasiony i zadowolony układał się do snu w szatach, według arabskiego zwyczaju, i spał przez cały dzień.

Pomimo takich ulg, koniec Ramazanu oczekiwany był przez wszystkich z niecierpliwością, bo prowadził za sobą rozdawnictwo upominków, jałmużny i ogólną zabawę i uciechy. Ramazan kończy się w chwili, gdy na horyzoncie ukaże się nowy księżyc, a chwila ta krótkotrwała, bo gwiazda nocy, zaledwie błysnąwszy, zachodzi wraz ze słońcem. Jak tylko słońce zacznie się zniżać, oczy wszystkich mieszkańców Zanzibaru, upatrują czy sierp księżyca nie pojawi się na szarzejącem niebie, niewolnicy wchodzą na najwyższe palmy kokosowe, posiadacze lunet oblegani są przez proszących o pożyczenie. Wrazie zaś, gdy Ramazan, który przypada coroku wcześniej o dni jedenaście, zastaje pokryte chmurami niebo pory deszczowej, zapewne tylko gorąca wiara dozwala wiernym ujrzeć księżyc z poza tej nieprzeniknionej zasłony. W każdym wypadku strzał armatni pozdrawia wschodzącego wybawiciela i niezmierna radość wybucha w całem mieście, napełniając powietrze okrzykami wesela; jeźdźcy wyruszają z miasta galopem, roznosząc szczęśliwą nowinę po okolicy, przechodnie na ulicach i mieszkańcy po domach składają sobie powinszowania, życzenia i przebaczenie uraz.

Następna noc odznacza się wielkiem ożywieniem w haremach. Każda z mieszkanek przygotowała w największej tajemnicy trzy nowe ubrania na trzy dni świąteczne, a niecierpliwsze nie czekają na rozproszenie się ciemności, ażeby się w nie przystroić. O czwartej rano wszystkie już są pod bronią. Podeszwy i dłonie, pomalowane świeżo, błyszczą pięknym pomarańczowym kolorem, cała osoba przejęta wonnościami, zdolnemi przyprawić o zawrót głowy.

Kobieta europejska taksamo niezdolna jest pojąć ilości pachnideł zużytych przez te trzy dni, jak Arabka nie uwierzy, ile piwa wypija się w Berlinie podczas Zielonych Świątek,—robi uwagę księżniczka Salme.

Sarari i kibibi wybiegały na korytarze, prezentując się jedne drugim i ciesząc się zadziwieniem, zachwytem i zazdrością przyjaciółek i współzawodniczek. O siódmej rano pałac podobny był do olbrzymiej sali balewej, natłoczonej strojnym tłumem.

Sedżid-Said szedł odprawiać modły w meczecie. Po powrocie podawał rękę do pocałowania i udawał się do komnat, gdzie się mieścił skarbiec, w towarzystwie ulubionej córki imieniem Szole i olbrzyma Dżohara, przywódzcy eunuchów. Szole, przezwana „Gwiazdą poranną,” była najcenniejszą perłą sułtańskich pałaców, źrenicą oczu ojcowskich. Piękność jej była bez zarzutu, charakter wesoły i słodki, ojciec uwielbiał ją, a na dowód wyjątkowej łaski powierzał klucz od skarbca. Tak wysokie wyróżnienie i tak doskonała piękność nie mogły ujść bezkarnie; niewinna Szole była celem nienawiści, które podsyciła jeszcze nieroztropność Sedżid-Saida, gdy na dowód miłości obdarzył ją brylantowym dyademem. Po śmierci ojca Szole została otruta.

Wchodzą tedy we troje do skarbca, a za nimi goniły pożądliwe spojrzenia. Łaskawy monarcha miał zwyczaj zapytywać zawczasu każdej sury, czego sobie życzy. Szole niedostępna zawiści przychodziła z pomocą jego pamięci, a Dżohar wypisywał nazwiska na każdym przedmiocie. Mimo to, niewolnicy przeznaczeni do roznoszenia darów przynosili je często napowrót z zuchwałemi słowami, które towarzyszyły odrzuceniu podarunku. Sedżid-Said z niezachwianą cierpliwością przyjmował zwrot i dawał co innego wzamian.

I w ten sposób — mówi Salme — otrzymywało się prawie zawsze to, czego kto pragnął.

Sułtan nie sam harem miał tego dnia do obdarzenia. Rozdawał on upominki wszystkim wodzom azyatyckim i afrykańskim, którzy w tej chwili byli w Zanzibarze, wszystkim urzędnikom w państwie, żołnierzom i oficerom, majtkom i kapitanom okrętów, zarządzcom swoich czterdziestu pięciu plantacyj i wkońcu wszystkim niewolnikom, których liczba przenosiła ośm tysięcy. Niepodobna nie uwielbiać rozumu, ładu i przezorności tego patryarchy, który umiał zdobywać podarunki dla 15,000 ludzi za wysyłane z kraju kły słoniowe, goździki, gumę i oleiste ziarna.

Pobłażliwość jego posuwała się aż do tego, że haremom dawał pewną swobodę. Po śniadaniu szedł sułtan udzielać posłuchania w wielkiej sali na parterze, a wtedy we wszystkich oknach pałacu ukazywały się głowy kobiet upatrujących znajomych wśród tłumu przybywających mężczyzn, którzy dawali znaki dla nich tylko zrozumiałe.

Pewnego razu zauważyli wszyscy młodego wodza z Omanu, stojącego w pozie wyrażającej najwyższy zachwyt; w ręce trzymał dzidę, której ostrze przebiło mu nogę, a twarz, wzniesiona ku niebu z wyrazem rozkoszy, zwrócona była ku pięknej Szole, wyglądającej oknem. Musiano go ostrzedz, że jest ranny, nic nie czuł, nic nie widział, wpatrzony w czarującą piękność. Więc widział i widział dobrze.

Kilka godzin upłynęło w ten sposób, na wyglądaniu oknem i robieniu uwag o przechodniach, a wspomnienie tych chwil ma tyle wdzięku dla wygnanej księżniczki, że nic nie zdoła jej wynagrodzić „tych rozmów, tak niezmiernie zajmujących i obfitujących w szczegóły”, prowadzonych z okien Bet-il-Sahelu. Ludzie z Zachodu mylnie wyobrażają sobie, że kobiety wschodnie przepędzają życie w bezczynności. Księżniczka Salme niecierpliwi się na zadawane jej nieustannie przez mieszkanki Berlina i Hamburga pytania: „jakim sposobem ludzie w jej ojczyźnie mogą żyć, nic nie robiąc?” Pytania te dowodzą, że północni Niemcy zatracili w sobie zupełnie zrozumienie arystokracyi. Wielka dama w Arabii ma niewolnice, które dla niej pracują i którym każe wymierzać chłostę za próżniactwo. Ona sama wygląda przez okno, rozmawiając z towarzyszkami, ale to się nie nazywa „nic nie robić.” Mieszczańska pracowitość mieszkańca Bremy jest rzeczą godną szacunku, ale nie dla każdej rasy i nie dla każdego człowieka odpowiednią. Bóg stworzył Europejczyka chciwym zysku, a Murzyna poto, ażeby Arab mógł wysypiać się w cieniu, kiedy nie idzie na wojnę.

Przezorne matki przeciwne były temu wyglądaniu oknami i odwodziły od niego córki, wiedząc, że mało jest między muzułmanami mężów obdarzonych podobną pobłażliwością jak ta, którą wiek natchnął Sedżid-Saida. Same też ograniczały się do odwiedzin towarzyszek i zajęcia się haftem. Najwyżej wykształcone zpośród dam haremowych czytały romanse, szkoda tylko, że autorka nie wdaje się w żadne szczegóły, jakich autorów były one dziełami i jakie kraje i epoki służyły za tło tych opowieści.

Około pierwszej w południe cały harem udawał się na spoczynek, trwający przez czas największego upału, zajmując się chrupaniem ciastek i owoców, gawędką i drzemką. Po obiedzie przywdziewały wszystkie wspaniałe toalety, a kibibi szły na obiad do sułtana.

Wieczór był porą najprzyjemniejszych rozrywek. Przyjmowano odwiedziny, bawiono się rozmową, je-

dzeniem przysmaczków i słuchaniem murzyńskiej muzyki, tak samo prawie jak na naszych europejskich zebraniach, z wyjątkiem, że nigdy nie było mowy o pogodzie; księżniczka arabska upewnia, że ten przedmiot rozmowy poznała dopiero w Europie i żartuje z nas z tego powodu.

Każdy zaś, kto nie miał gości, wychodził w odwiedziny, sarari i książęce wysokoście otoczone wspaniałym orszakiem.

Na czele niewolnicy niosący latarnie; położenie społeczne i dostojeństwo osoby poznaje się po ich liczbie i wielkości. Największe miewają po dwa metry ubwodu i przystrojone są pięcioma kopułami oszklonemi szkłem kolorowem. Wielkiej damie towarzyszyło sześć takich latarni na długich kijach osadzonych, a niesionych przez sześciu silnych ludzi. Za nimi, po dwóch, szło dwudziestu niewolników w bogatych strojach, uzbrojonych w broń wykładaną złotem i srebrem. Usuwali oni przechodniów, którym w tym razie przyzwoitość nakazywała ukryć się w sklepach lub w sieniach. Pospólstwo w Zanzibarze, źle wychowane, jak wszędzie pospólstwo, nie ustępowało dobrowolnie, chyba na widok sułtańskich, groźnych niewolników. Za tą zbrojną strażą szła pani, okutana po same oczy w czarny, jedwabny płaszcz z kolorowem lub złotem obszyciem, w czerwonych safianowych, haftowanych pantoflach z wysokiemi obcasami, kobieta z niższej sfery towarzyszyła jej, a pochód zamykała gromada niewolnic, przybranych także w najpiękniejsze szaty. Świetny orszak podążał ciemnemi i krętemi uliczkami, na których spotykał się często z drugim znajomym orszakiem, dążącym do jednego celu.

Przywitania i rozmowy rozlegały się wśród szczęku oręża, zaciekawieni mieszkańcy wysuwali głowy z ukrycia i goście wchodzili na wizytę wśród rozbudzonej wrzawą ulicy.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

DUSZA PIOTRA.

PRZEZ

JERZEGO OHNET.

PRZEKŁAD

Bronisławy Kowalskiej.

(Dalszy ciąg.)

— Jestem szalenie w niej zakochany — odparł Jakób stłumionym głosem.—Nie od mojej woli zależy postępować inaczej!... Miłość, jaką mnie natchnęła, wiąże się tak ściśle z moim powrotem do zdrowia, że zdaje mi się, iż jest jego warunkiem... A zresztą gdybym nie poddał się cały temu uczuciu, które nie dozwala mi zastanawiać się nad sobą i pochłania całe moje istnienie, cóżby się zemną stało? Lękam się o tem myśleć i zastanawiać się nad tem.

Tu zwrócił na doktora wzrok, w którym malowały się trwoga i pomieszanie.

— Nie mogę zagłębiać się w przypuszczenia—dodał, — gdyż doszedłbym łatwo do przekonania, że życie moje jest niebezpiecznym i potwornym występkiem, który popełniam tak względem innych, jak i samego siebie... Nie, nie, nie mogę o tem myśleć! Życie, jakie wiodę i za które tak mnie potępiasz, jest jedynie odpowiedniem dla mnie, potrzebuję się przecież zagłuszyć i odurzyć!

— Ale siły twoje nie podołają temu, zabijesz się — dorzucił Dawidoff.

Jakób roześmiał się urywanym, nerwowym śmiechem.

— Czy sądzisz, że to jest możebne? — spytał. — Czyż ja zależę od siebie? Wszakże mną kieruje fatalna siła przeznaczenia?

— Strzeż się, Jakóbie! Rozumowanie to, przez które chcesz uwolnić się od wszelkiej odpowiedzialności, jest zbyt łatwem usprawiedliwieniem twych błędów, — odpowiedział surowo doktor.—Groziła ci śmierć, a jednak żyjesz, to jest faktem stwierdzonym i prawdziwym, lecz nie przywiązuj do niego nadnaturalnych przyczyn. Wyzdrowiałeś z ciężkiej choroby, lecz czy to pierwszy na świecie tego rodzaju przypadek? Leczyłem cię, mnie zatem przyznaj zasługę twego wyzdrowienia i nie pokładaj wiary w fantazye i urojenia, z jakich śmiałoby się nawet dziecię.

— A czy ty sam, doktorze, śmiałeś się z tego w Monte-Carlo, owego pamiętnego wieczora, kiedy opowiadałeś nam te cudowne historye?

— A czy powiedziałem wam, że wierzę w to co wam opowiadałem? Po doskonałej uczcie, przyjaciele nasi zaczęli mówić o spirytyźmie i przekazywaniu dusz... Ja także wziąłem udział w ogólnej zabawie, ale jeżeli chcesz się dowiedzieć o rzeczywistych moich wyobrażeniach, powiem ci, że jestem materyalistą, a zatem nie mogę przypuścić, ażeby ciało było odżywione zapomocą żywiołu, którego istnienia nie uznaję.

— Więc w jakiż sposób zostałem uratowany? — zapytał Jakób drżącym głosem.

— Zostałeś ocalony dlatego, że jama, jaką suchoty otworzyły w twoich płucach, zabliźniła się szczęśliwie, dzięki kuracyi jaką prowadziłeś i zbawiennemu wpływowi łagodnego klimatu... Cóż w tem widzisz tak cudownego? Corok przytrafiają się takie zadawalniające zjawiska, nie budząc jednak w umyśle tych, którzy z nich korzystają, pełnego tajemnic i trwożnej obawy niepokoju.

Zatrzymali się nad brzegiem morza, którego spokojna powierzchnia, oświetlona promieniami księżyca, połyskiwała jak srebro; Jakób milczał przez chwilę, potem spytał nagle, jakby chciał zrzucić ciężar przygniatający mu piersi:

— A Piotr Laurier?

— Piotr Laurier nie był przy zdrowych zmysłach — z powagą odpowiedział Dawidoff, — i wiesz dobrze, kto głównie przyczynił się do ich utraty. Jakóbie, pragnę abyś się stał sam sobą i dlatego chciałbym ci pokazać całą szkaradę życia, jakie wiedziesz, i otworzyć ci oczy na nieszlachetność tej, dla której poświęcasz wszystko.

— Przestań! — zawołał Jakób gwałtownie.—Nie zniosę, ażebyś wobec mnie wyrażał się o niej w ten sposób!

— Tego wieczora, gdy Piotr Laurier zginął bez wieści, nie ja, lecz on wyrażał się ubliżająco o Klemencyi—ciągnął dalej doktór, nie zważając na słowa Jakóba. — Biedny człowiek przeklinał ją niemal; pomimo to nieprzezwyciężona siła pociągała go ku niej—sto razy przyrzekał, że więcej jej widzieć nie chce, a postanowienie jego rozwiało się zawsze jak dym za najlżejszym wiatru podmuchem. Doprowadzało go to do rozpaczy, chciał zabić potwora, a potem samemu sobie odebrać życie. Lecz potwór zwyciężył tego, kto chciał go poskromić, i teraz ty jesteś jego zdobyczą, a po tobie będą inni jeszcze.

— Doktorze!

Doktor uchwycił silnie ramię Jakóba.

— Czyż miałbyś jakie złudzenia pod względem jej wierności? — rzekł. — Laurier nie był tak łatwowiernym, a jednak kochał ją szalenie! Powiedz, nie jest-że to najwyższym stopniem poniżenia? Skoro zdradą i obojętnością doprowadzi cię do szaleństwa, zamiast ją ukarać, upadniesz jej do nóg, błagając ze łzami w oczach o przebaczenie. Niejeden już odgrywał przed nią tę bolesną komedyą i dlatego ona pogardza mężczyznami; widok cierpień nie rozczuli jej bynajmniej, z obojętnością słuchać będzie twoich skarg i błagania. Opamiętaj się, Jakóbie, i zastanów się nad sobą. To, co mówiłem do Piotra owej nocy fatalnej, powtarzam dziś tobie; i wtedy staliśmy nad brzegiem morza, pod jasnem i gwiaździstem niebem, a noc była tak samo spokojna i ciepła... Piotr wysłuchał mnie w milczeniu, lecz odpowiedział potem, że nie ma siły zastosować się do mojej rady. Rozstałem się z nim i nie widzieliśmy go już więcej... Ale on był przynajmniej sam na świecie, a ty masz matkę i siostrę. Pamiętaj o nich... Czy chcesz, aby cię opłakiwały?

— One już płaczą po mnie — rzekł Jakób z goryczą. — Jestem dla nich przyczyną udręczeń i niepokoju; z mojej winy obie są nieszczęśliwe, one, tak łagodne i kochające. Nie widziałeś zapewnie teraz mojej siostry, przestraszyłbyś, się widząc ją tak smutną i osłabioną. Doktorzy nie umieją określić jej choroby, ale ja i matka wiemy, z jakiego wypływa ona źródła. Ty także odgadłeś je zapewnie... Rana jej jest cierpieniem moralnem, ten trudniejszem do wyleczenia. Julia kochała Piotra Laurier i nie może się pocieszyć po jego stracie... Wyznała mi to jeszcze w Nizzy... A ja, niegodziwy, przyjąłem jej wyznanie niemal z nienawiścią... Zdawało mi się, że ona mi wyrzuca śmierć tego, którego opłakuje, i rozgniewany odsunąłem się od biednej dziewczyny, zamiast starać się ją rozerwać i pocieszyć. Czułem że Piotr Laurier podarował mi swoje życie, że jego siły podsycają mój wyczerpany organizm. Tak niedawno pozbyłem się obawy choroby i groźnego widma śmierci, że zdawało mi się, iż nie cofnąłbym się nawet przed występkiem, by bronić życia, odzyskanego w tak niespodziewany i cudowny sposób... Szalenie, bez zastanowienia rzuciłem się w wir uciech; chciałem zagłuszyć rozum i sumienie. Ale czuję, że postępuję nikczemnie!.. Jakże gorzko żałuję, że nie posiadam władzy przywołania do życia Piotra... Byłoby to ocaleniem dla biednej Julii, a może i dla mnie! Tak, widząc, że mój przyjaciel żyje, odzyskałbym ufność we własne siły i przestałbym wierzyć w nadprzyrodzoną pomoc, która, pomimo zaprzeczenia z twojej strony, podtrzymywała mnie dotąd jedynie. Miałbym wtedy dowód, że mogę żyć tak jak inni, lub też słaby płomyk mego życia zagasłby prędzej, dając mi pożądany spokój i zapomnienie. Jestem już tak znużony!

Tu Jakób westchnął i opuścił głowę na piersi. Nerwowy dreszcz wstrząsnął jego ciałem, krople potu wystąpiły mu na czoło. Doktor spoglądał na niego z litosnem współczuciem.

— Cierpisz, Jakóbie — rzekł. — Wiatr wiejący od morza jest chłodny, nie powinniśmy zatrzymywać się tu dłużej...

— Co mnie to obchodzi! — zawołał z lekceważeniem Jakób. — Chłód i gorąco są mi zarówno obojętne. Sprawiło mi to wielką ulgę, że mogłem szczerze z tobą pomówić. Jestem nieszczęśliwą

istotą i podlegam złym wpływom, których nie mogę przezwyciężyć.

— A więc, jeżeli tylko czujesz, że źle robisz, nie trwaj dłużej w błędzie... Mówiłeś mi przed chwilą, że matka twoja martwi się, a siostra jest chora... Jedźmy zatem jutro rano razem do Paryża. Ty pocieszysz matkę, a ja postaram się wyleczyć twoję siostrę... Obecność twoja będzie w domu bardzo pożądaną; niechaj dobre postanowienie będzie wynikiem twego szczerego przedemną wyznania. Jesteś mężczyzną, pokaż więc, że posiadasz odwagę i siłę charakteru.

Jakób zawahał się, słysząc tak stanowczo wypowiedziane zdanie; na twarzy jego odmalowały się kolejno najrozmaitsze uczucia. Znać było, że niepokój, trwoga i niepewność miotały naprzemian jego duszą.

— Czy koniecznie mamy jechać jutro zrana? — szepnął. — Możebyśmy odroczyli ten wyjazd na dni kilka? Miałbym czas się przygotować...

— Jeżeli odłożysz, nie odjedziesz z pewnością — szorstko odpowiedział Dawidoff. — Albo jedziemy jutro, albo nie chcę cię znać i widzieć więcej w mojem życiu.

A widząc, że młody człowiek waha się jeszcze, dodał:

— Cóż cię powstrzymuje? Czy jesteś już do tego stopnia niewolnikiem, że musisz prosić o pozwolenie oddalenia się? Byłoby to gorzej, niźli przypuszczałem!

— Mylisz się! — zawołał Jakób z uniesieniem.— Dam ci dowód jutro zrana. Do jutra więc!

— Pod słowem, bez zwłoki, bez wymówki żadnej?

— Możesz na mnie liczyć, doktorze...

— Jakże mnie to cieszy!... A teraz chodźmy spać, aby wypocząć na jutrzejszą podróż.

Przeszli przez kasyno i wyszli. Zbudzili drzemiącego na koźle woźnicę i kazali się wieźć do portu; w drodze milczeli, gdyż każdy z nich własnemi był zajęty myślami. Wreszcie woźnica zatrzymał konie na wybrzeżu, gdzie, nie dalej jak o sto metrów, kołysał się na falach piękny, biały jacht, połączony lekkim mostem ze stałym lądem. Doktor serdecznie uścisnął dłoń Jakóba, jakby tym sposobem chciał przelać weń trochę energii.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z chwili bieżącej.

* **Niespodzianka.** Wiadomo jest powszechnie że p. Franciszek Kostrzewski maluje sympatyczne z motywów swojskich obrazy, że jest pierwszym naszym rysownikiem-humorystą, wreszcie że gwiździe klasycznie. Ale żeby oprócz ołówkiem, pędzlem i gwizdkiem władał jeszcze i piórem, tego się mało kto chyba domyślał. Tymczasem świeżo wydany katalog wydawnictw Lewentalowskich zapowiada rychłe ukazanie się „Pamiętnika" Franciszka Kostrzewskiego, — naturalnie pamiętnika illustrowanego.

Kostrzewski tyle już lat życia zostawił za sobą, a wciągu tego życia w tylu rozmaitych obracał się, sferach towarzyskich, że zbiór wspomnień jego może być bardzo interesującym. Jeżeli obok tego werwa i humor tryskające z jego ołówka i nieodstępujące go w stosunkach towarzyskich dopisały mu i w tej literackiej imprezie, to „Pamiętnik" jego można będzie zaliczyć do najciekawszych i najsympatyczniejszych książek, jakie ostatniemi czasy tłocznie warszawskie opuściły.

* **Kossuth w nędzy.** Wielki Węgier winienby posłużyć za wzór patryotom wszystkich krajów, którzy usługi oddane ojczyźnie powiększej części każą sobie dobrze opłacać, a przynajmniej mają do tego nigdy niegasnące pretensye. Tymczasem Kossuth przeciwnie. Opuszczając kraj, posiadał on pewien majątek, który zarobił na adwokaturze; z tego majątku i z pióra utrzymywał się za granicą. W ostatnich atoli czasach zaangażowawszy całe swoje mienie w pewną spekulacyą, stracił wszystko wskutek bankructwa interesu i na zgrzybiałe prawie lata został bez żadnych środków, gdyż i pióro w tym wieku nie dopisuje i umysł już stracił dawną bystrość.

Chciano mu przyjść w kraju z pomocą, ale nie chciał przyjąć „narodowej jałmużny;" ucieknięto się zatem do podstępu. Pewien księgarz zgłosił się do niego o napisanie dzieła, za które chciał mu dać 5,000 guldenów zaliczki, którą to sumę złożyli jego przyjaciele. Ale i tej propozycyi nie przyjął, twierdząc, iż nie może być pewny, czy śmierć pozwoli mu zamówionego dzieła dokończyć.

* **Szereg pogadanek** w Towarzystwie ogrodniczem już się rozpoczął w tych dniach i nadal trwać będzie w następującym porządku: p. Edmund Jankowski będzie mówił o owocarstwie coczwartek o godzinie 7 wieczorem; p. Franciszek Szanior o kwiaciarstwie w każdą sobotę o godz. 6 wieczorem, a od 7-ej, w też same dni, p. Józef Kaczyński o warzywnictwie. Pogadanki o takich przedmiotach i przez takich wygłaszane specyalistów, cóż to za gratka dla naszych gospodyń i kandydatek na gospodynie, zarówno wiejskie jak i miejskie! A że na owe pogadanki mają wstęp nietylko członkowie Towarzystwa, ale i osoby przez członków wprowadzone, spodziewać się należy, że prelegentom na słuchaczach nie zbraknie.

* **Z zapisu ś. p. Jana Zacharkiewicza** na początku przyszłego roku rozdana będzie jedna z naszych nagród Montyona. Tym razem nagradzani będą uczciwi lokaje; jeden otrzyma 150 rs. za 20 lat wiernej służby w jednej rodzinie; drugi 75 rs. za 15 lat takiejże służby; trzeci 45 rs. za służbę dziesięcioletnią. Podania mają być wniesione najdalej do 17 Stycznia roku przyszłego, do Rady miejskiej warszawskiej dobroczynności publicznej. Pocieszający to objaw, że do tego rodzaju nagród znajdują się jeszcze u nas wykwalifikowani kandydaci płci obojej, i to zawsze w zasadzie o wiele liczniejszym nad liczbę nagród wyznaczonych.

* **Wsparcia dla niewidomych,** 40 mężczyzn i 40 kobiet, po 30 rs. na osobę, z fundacyi Karoliny i Janusza Roztworowskich, rozdane będą niebawem. Podania należy składać najdalej do 22 b. m., na ręce p. prezydenta m. Warszawy. Do podania powinno być dołączone świadectwo tutejszego Instytutu oftalmicznego.

* **Obniżona taksa tramwayowa** dla uczniów szkół rządowych, zatwierdzona przez odnośne władze, niebawam już wejdzie w życie. Opłata wynosić będzie 5 kop. w kl. I, 3 kop. w kl. II. Legitymacyą stanowić będzie mundur.

Przywilej obejmuje gimnazya, progimnazya, szkołę realną, szkołę weterynaryi i uniwersytet. Obniżka ustaje w dnie codzienne od god. 5-tej, a w niedziele i święta od god. 1-ej po południu; nie stosuje się też do miesięcy wakacyjnych: lipca i sierpnia.

* **Kłopoty kuchen tanich.** Zarząd tutejszych „kuchen tanich," kierowany zacną chęcią spełnienia o ile możności swego zadania, po założeniu kuchni numer 3 na ulicy Czerniakowskiej, chciał na czas zimy, tak jak w roku zeszłym, urządzić 3 kopiejkowe posiłne śniadania, aby *tanio* nakarmić tych, którzy *taniego* jedzenia najbardziej potrzebują. Atoli zeszłorocznego lokalu nie chciano mu już na ten rok odstąpić, a nowego lokalu, w odpowiedniej okolicy znaleźć w żaden sposób nie mógł.

Obecnie poczciwy ten zarząd myśli o założeniu czwartej kuchni na podobieństwo Czerniakowskiej, ale w okolicach ulicy Żelaznej, tak obfitujących w ludność robotniczą. Niezmożony żadnemi trudnościami, gdy chodzi o dobro instytucyi i społeczeństwa, wiceprezes zarządu, pan Józef Lewandowski, przed miesiącem rozesłał listy do pp. właścicieli fabryk w pomienionej okolicy, zasięgając ich w tej mierze opinii. *Siedmiu* z nich odpowiedziało przychylnie, ofiarując się nawet z przyjściem w pomoc do założenia kuchni, ale reszta, kilkudziesięciu, milczy dotąd uparcie. Panowie ci albo bardzo a bardzo muszą być zajęci, albo.... No, na teraz nie chcemy tego *albo* rozmazywać; ale możemy ich zapewnić, że koledzy ich z okolic ulicy Czerniakowskiej daleko skorszymi się od nich okazali. Odrazu zrozumieli i ciążący na sobie obowiązek, i interes swój własny leżący w tej sprawie. Stanęli uczciwie na uczciwe wezwanie, zamiar aprobowali, złożyli parę tysięcy rubli na przyprowadzenie go do skutku i dziś mają już powody winszować sobie swojej skwapliwości. Radzimy i życzymy szczerze panom z okolic Żelaznej, aby poszli za ich przykładem.

* **W kwestyi służących**, tak zblizka i gorąco obchodzącej nasze stosunki domowe, mamy do zanotowania dobrą. . dotąd: nadzieję, która jednak niebawem, bo jeszcze w tym miesiącu, ma się oblec w ciało rzeczywistości. Oto w biurze kontroli służących ma być utworzony oddział, który będzie stanowił urzędowy niejako kantor stręczeń. Ma on rekomendować służące tylko na mocy pewnych danych, na podstawie świadectw „sprawdzonych." Jeżeli program ten będzie ściśle dotrzymany, oddział pomieniony oddawać będzie wielkie usługi publiczności i wróżyć mu można wielkie powodzenie. Nikt nie będzie się zgłaszał do kantorów prywatnych, które nie przedstawiają żadnej rękojmi i w których panie nasze tylko z konieczności szukają służących. Pytanie tylko naprzód: czy dużo znajdzie się służących, którzy i które wytrzymają ogniową próbę „sprawdzania dobrych" świadectw; a następnie: co będą robić ci i te, którzy tej próby nie wytrzymają?...

Ha! trudno. Pierwsze kroki na drodze do wszelkiej reformy zawsze są ciężkie, a muszą być tem cięższe, im o dłużej wyczekiwaną chodzi reformę. W każdym razie nie ulega wątpliwości, że pomieniona próba, byle ściśle przeprowadzona, wyda najlepsze rezultaty; będzie ona bodźcem, przymusem do starania się o zasłużenie na „sprawiedliwie dobre" świadectwa, o które obecnie służba nasza nie dba prawie zupełnie.

* **O Stanleyu.** Nietylko fortuna, ale i sława czasem kołem się toczy. Jeszcze nie ucichły echa hymnów bezwzględnego uwielbienia, jakiemi cała Anglia brzmiała na cześć Stanleya, a już gwiazda jego wielkości pochyliła się ku zachodowi. Za przykładem brata kapitana Barteletta, dowódzcy załogi w Yambonya, która, opuszczona przez Stanleya, została w pień prawie przez dzikich wyciętą, zjawiają się coraz nowi zuchwalcy, którzy nie po jednym listku, ale całemi garściami zrywają wieniec laurowy z głowy głośnego reportera „New-York-Heralda." Obecnie wystąpił przeciw niemu Rose Troup, oficer, jedyny właśnie człowiek, który z Yambonya uszedł z życiem. Miał on konferencyą o Stanleyu w Exeter, w której nazwał go ni mniej ni więcej tylko bezczelnym spekulantem i błaznem bezwstydnym, a ciż sami Anglicy, którzy przed paru miesiącami na rękach nosili Stanleya, teraz zapamiętale klaskali Troupowi.

* **Z horoskopu karnawałowego.** Horoskop karnawału, który przy skocznej nucie polek i mazurów wprowadzi nas w podwoje roku 1891, zapowiada się dosyć świetnie. Niemało do tego przyczynia się bardzo kusy przeciąg czasu między Nowym Rokiem a Popielcem; obawiając się braku miejsca, wszyscy mający intencye taneczne śpieszą się jedni przed drugimi, a przed wszystkimi śpieszy się filantropia, która radaby, żebyśmy przez cały karnawał po jej muzyce wyłącznie tańczyli. I nic dziwnego... Ileż to potrzeb owa biedaczka obtańczyć potrzebuje!

Jednym z pierwszych filantropijnych balów, zapowiedzianym mniejwięcej na połowę Stycznia, jest bal, który zamierza urządzić Rada opiekuńcza ubogich cyrkułu XII na Pradze. Rozpoczęła ona już wydawanie biednym bezpłatnych obiadów, z funduszami, które nie nadługo wystarczą; więc *periculum in mora*. Zabawa ta, jedna z najsympatyczniejszych, odbyć się ma w salonach resursy Obywatelskiej.

G. Cz.

Odpowiedzi od redakcyi.

Jednej z Prenumeratorek. Po informacye żądane zechce się łaskawa pani zgłosić do redakcyi naszej.

☞ Do dzisiejszego n-ru Tygodnika dołącza się dodatek z drzeworytami i dla prenumeratorów z prowincyi koperty zwrotne.

Дозволено Цензурою. Варшава, 29 Декабря 1890 г. Redaktor i Wydawca Emil Skiwski.

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna № 26. **Dodatek.**

Opis do N-ru 50.

N. 1 i 11. Sukienka naszyta sutaszem, dla panienki.

Spódnica podszewkowa popielata, 54 centymetry długa, 167 centymetrów szeroka, oszyta u dołu listwą z materyału 12 centymetrów szeroką, przykryta jest zwierzchnią spódnicą, takiej samej długości, 274 centymetry szeroką, u góry zmarszczoną i wszytą w pasek łączący ją ze staniczkiem spodnim. Ten ostatni uszyty z podszewki, niema rękawów i zapina się z tyłu na guziki. Wolna bluza złożona tylko z przodów i pleców szyje się na lekkiej podszewce; dolny brzeg nawleczony na elastykę przypina się do stanika spodniego. Szerokie rękawy wszyte w sztylpy 16 cent. długie; kołnierz wykładany 4 centymetry szeroki. Model był z granatowej wełny, naszyty czarnym sutaszem i zdobny guziczkami szmuklerskiemi.

N. 2 i 29. Suknia z gorsecikowym stanikiem.

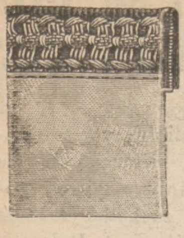
Jasno popielate sukno, przybrane czarnym aksamitem i pasmanteryą. Spódnica zwierzchnia 275 centymetrów szeroka, z przodu 102, z tyłu 118 centymetrów długa, u dołu naszyta torsadą 8 centymetrów szeroką, otoczoną z brzegów plisą aksamitną 5 centymetrów szeroką. Górny brzeg przymarszczony odpowiednio wszyty w aksamitny bawetowy pasek, zapinany na wierzchu stanika z tyłu, pod kokardą aksamitną. Stanik w górnej połowie pokryty aksamitem, na który zachodzi torsada zakończająca sukienny stanik gorsecikowy. Pokrycie sukienne przechodzi przez zapięcie przednie sięga do boku z lewej strony i tam zapina się na kryte haftki; przody i plecy układają się jednakowo. Wysoki kołnierz Marie Stuart z aksamitu ma rogi odwinięte i naszyte torsadą, powtórzoną przy rękawach.

N. 3 i 30. Suknia z paskiem gorsecikowym.

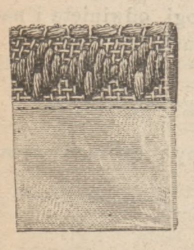
Odrobiona z gładkiej zielonej wełny przybrana aksa-



N. 1. Sukienka naszyta sutaszem. Patrz ryc. 11. N. 2. Suknia z gorsecikowym stanikiem. Patrz ryc. 29. N. 3. Suknia z szerokim paskiem. Patrz ryc. 30. N. 4. Ubranie strojne wizytowe. Opis w N. 49 przy ryc. 6—7. N. 5. Suknia z długim kaftanikowym stanikiem. Patrz ryc 31.

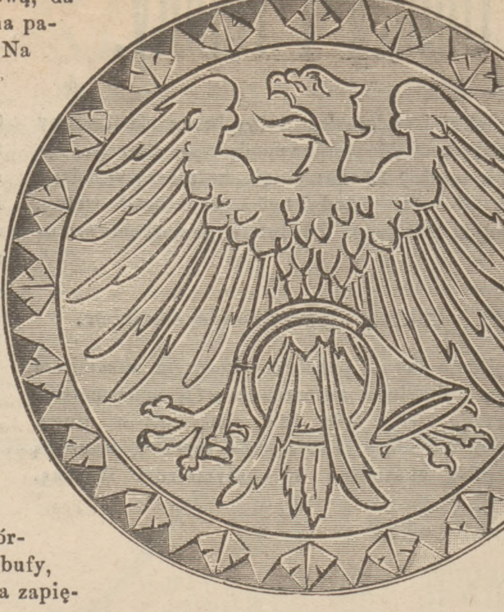


N. 6. Oszycie z kratką ażurową podłożoną materyą



N. 7 Oszycie ze szlaczkiem ściegiem płaskim.

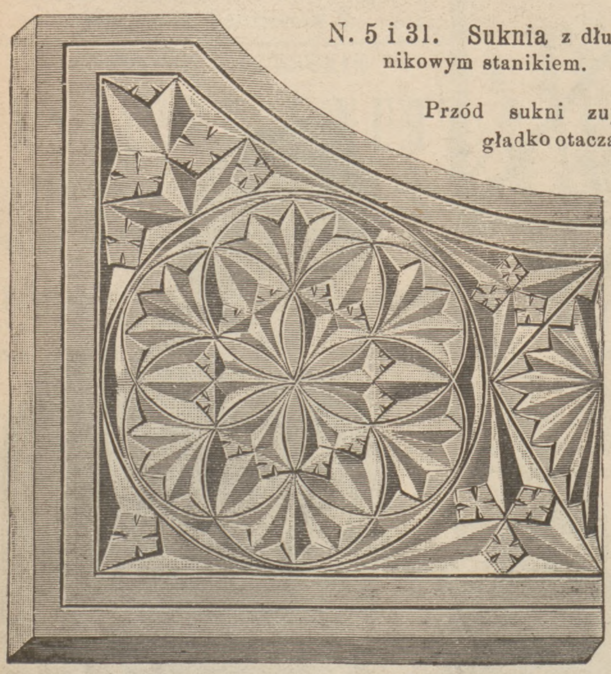
mitem w kratę ponsową i brązową, danym jako plisa u dołu sukni, na pasek i wązkie części rękawów. Na spódnicy podszewkowej nie sięgającej do ziemi, spada zwierzchnia krajana z małym trenem, z przodu i z boków dana zupełnie gładko, z tyłu zebrana w ściśle fałdy. W jednym ciągu z przodami krają się szerokie ranwersy, odwinięte podług ryciny 3 a na podszewce stanika przyczepia się krótki plastron zapięty z boku na haftki. Podszewka zapina się środkiem, zaś zwierzchnia połowa przodów zachodzi skośnie głęboko na lewą. Wysoki kołnierz podszyty jest aksamitem; rękawy w górnej połowie tworzą wełniane bufy, dłuższa obcisła połowa aksamitna zapięta u ręki na guziki.



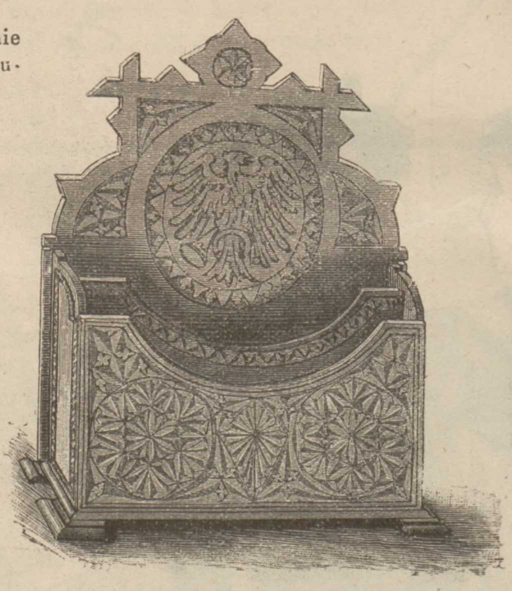
N. 13. Ptak zdobiący środek postumentu ryc. 12. Wielkość naturalna. Patrz ryc. 14

N. 5 i 31. Suknia z długim kaftanikowym stanikiem.

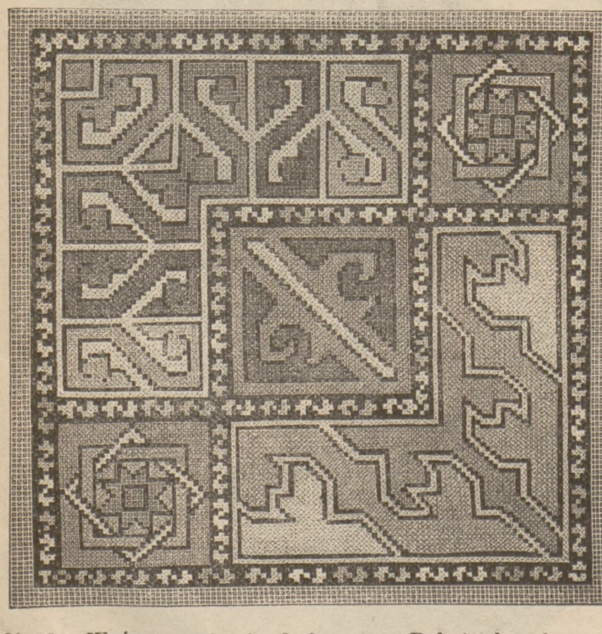
Przód sukni zupełnie gładko otacza figurę, zaś szerokie tylne bryty są środkiem w górze ściśle zebrane w fałdy a z boków łączą się z brytami bocznemi krajanemi znacznie dłużej u góry w tym celu, ażeby brzeg wystający złożony był w wachlarzowe fałdy. U dołu sukni dana plisa aksamitna 8 centymetrów szeroka, tego co kaftanik koloru. Stanik u dołu wycięty w głębokie patki między któremi z tyłu zgrabnie układają się fałdy (patrz rycina 5). Szpiczasto ścięte przody, odwinięte w ranwersy podszyte jasną materyą, otwarte są na ciemnej kamizelce przyciśniętej szerokim pasem z tego co suknia materyału. Rękawy mogą być całe z pasmanteryi, lub całe wyszyte sznureczkiem jaśniejszego koloru.



N. 14. Deseń na połowę ścianki przedniej do ryc. 12. Płaskorzeźba.



N. 12. Postument do listów i papieru. Płaskorzeźba. Patrz ryc. 13—14



N. 15. Wzór na poduszkę do kanapy. Robota krzyżowa. Patrz ryc. 16.

N. 6—10. Oszycia do kołnierzyków.

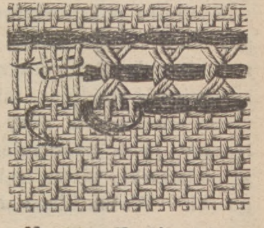
Moda nienoszenia kołnierzyków ciągle się utrzymuje ale lepiej do twarzy robią jakieś zakończenia lub oszycia dane przy kołnierzu od sukni, podajemy ich właśnie kilka wzorów na rycinie 6—9. Są przygotowane z pasków podwójnie wziętej kanwy kongresowej, $1\frac{1}{2}$ do 2 centymetry szerokich, na zwierzchniej stronie wyszytych filozelą w najrozmaitsze desenie, ściegiem luźnym, płaskim, sznureczkowym lub też w kratkę ażurową; kolory filozeli: niebieski, różowy, zielony, lila dobierają się w bladym odcieniu. Można kanwę podłożyć kolorową materyą, wysuniętą u góry w wązką wypustkę; dolny brzeg oszycia wpuszczony w kolorową pliskę atłasową $2\frac{1}{2}$ centymetra szeroką. Rycina 6 przedstawia oszycie z kratką ażurową obrzuconą kolorowym jedwabiem i podłożoną kolorową materyą; rycina 7 oszycie wyszyte ściegiem płaskim filozelą niebieskawo zielonego koloru, brzegiem przewleczona nitka cielista. Na r. 8 widzimy ścieg cierniowy dany filozelą łososiowego koloru, brzeg obrzucony biało. Rycina 9 przedstawia oszycie z kratką ażurową, wiązaną filozelą złotego koloru, podług ryciny 10.

N. 12—14. Postument do listów i do papieru listowego. Płaskorzeźba.

Odpowiedni do postawienia na biurku, wyrobiony z lipowego lub klonowego drzewa, postument liczy 16 centymetrów szerokości a 22 długości i opiera się na czterech nóżkach po 3 centymetrów w kwadrat. Najwyżej wystająca tylna ścianka i najniższa przednia ozdobione i prawie całkowicie zajęte płaskorzeźbą; deseń ptaka w naturalnej wielkości przedstawia rycina 13; deseń ścianki przedniej ułożyć podług ryciny 14. Przegródka środkowa ma tylko u góry wązki szlaczek.



N. 9. Oszycie z kratką ażurową. Patrz r. 10.



N. 10. Kratka ażurowa do ryc. 9.

N. 15—16. Wzór na poduszkę. Robota krzyżowa.

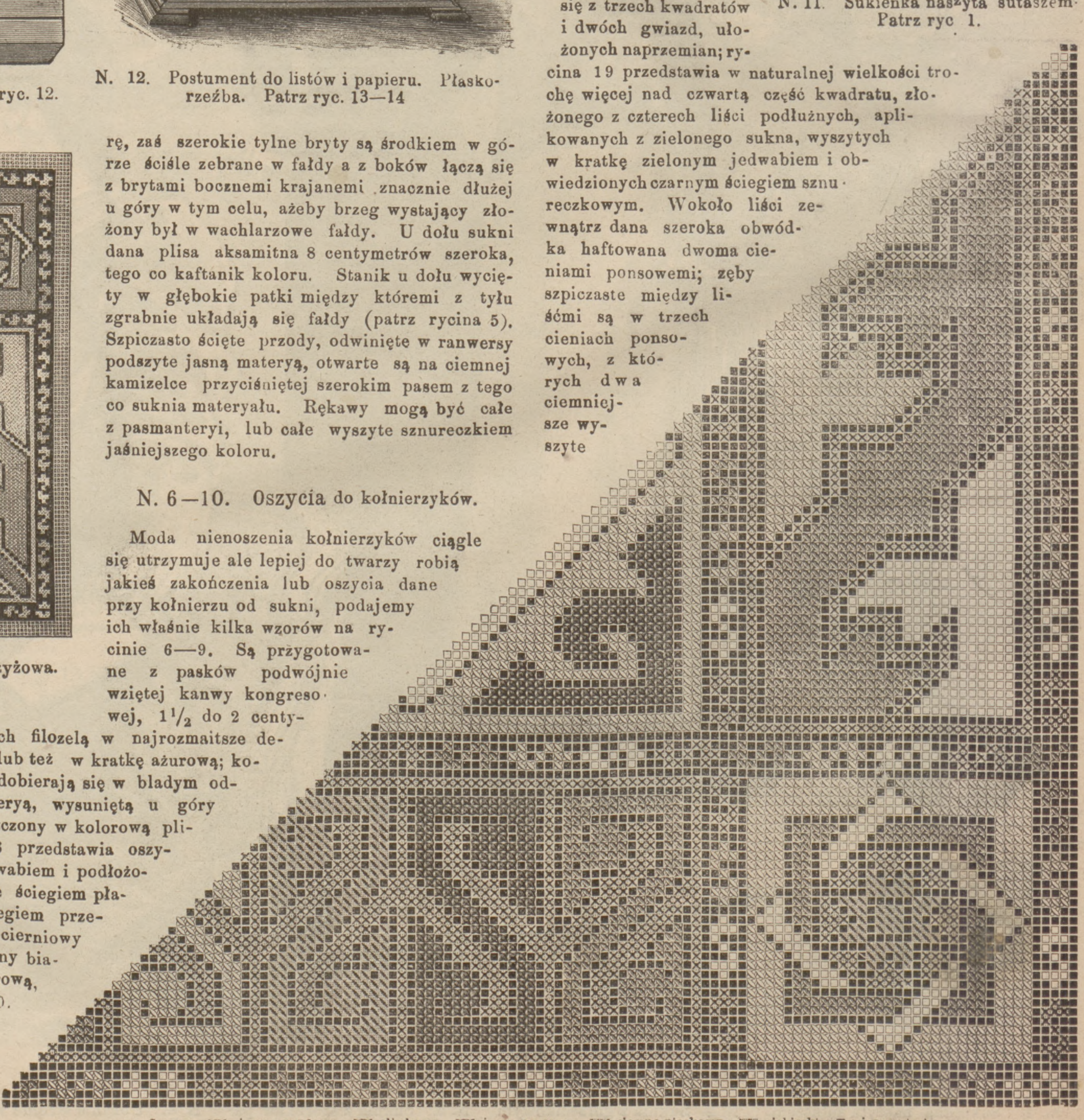
Rycina 16 daje połowę deseniu na ścieg krzyżowy, z wypisaniem kolorów, całość w odwrotnym kierunku ułożyć podług ryciny 15. Tło stanowi dość gruba zwyczajna kanwa, mająca w kwadrat 46 centymetrów, do wyszycia zwykłym ściegiem użyta włóczka hamburgska.



N. 11. Sukienka naszyta sutaszem. Patrz ryc. 1.

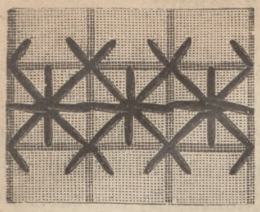
N. 17—19. Przykrycie na pianino. Haft szwedzki na flaneli.

Liczy 172 centymetry długości a 43 centymetry szerokości i z brzegów poprzecznych wycięte w szpiczaste zęby po 21 centymetrów długie. Tło stanowi flanela niebieskawo zielonego koloru, do haftu ściegiem płaskim użyta przedzierana włóczka hamburgska i filozela dzielona po dwie niteczki. Deseń składa się z trzech kwadratów i dwóch gwiazd, ułożonych naprzemian; rycina 19 przedstawia w naturalnej wielkości trochę więcej nad czwartą część kwadratu, złożonego z czterech liści podłużnych, aplikowanych z zielonego sukna, wyszytych w kratkę zielonym jedwabiem i obwiedzionych czarnym ściegiem sznureczkowym. Wokoło liści zewnątrz dana szeroka obwódka haftowana dwoma cieniami ponsowemi; zęby szpiczaste między liśćmi są w trzech cieniach ponsowych, z których dwa ciemniejsze wyszyte

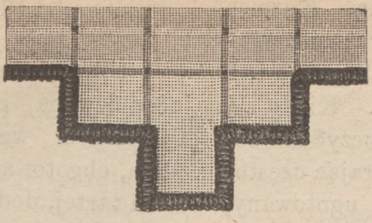


■ Czarny, ciemno ponsowy, oliwkowy, jasno ponsowy, ciemno piaskowy, niebieski, □ jasno piaskowy.

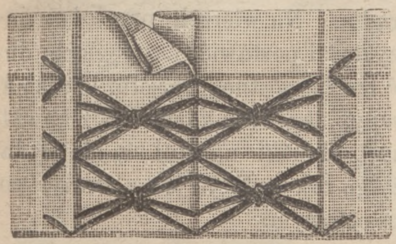
N. 16. Deseń na robotę krzyżową ryc. 15.



N. 20. Wyszycie gwiazdek ściegiem luźnym do ryc. 22.

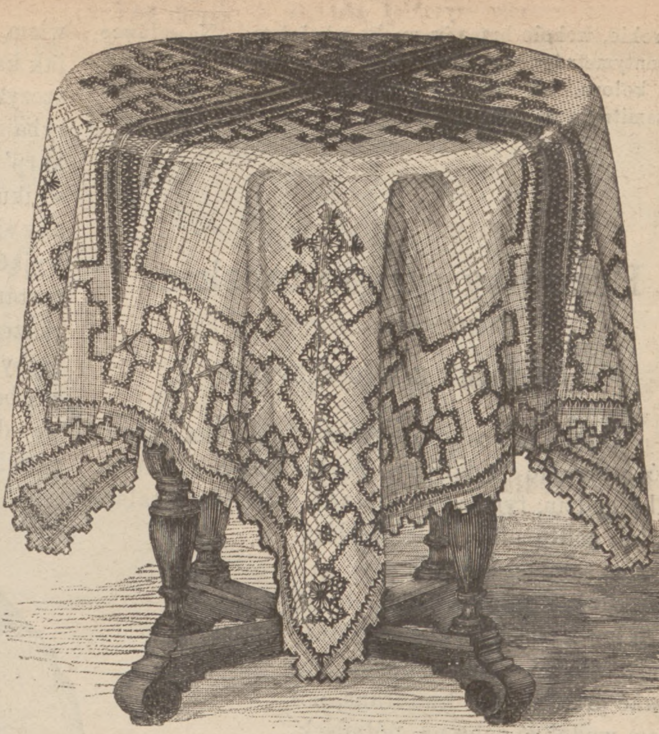


N 21. Ząbki dziergane do ryc. 22.



N. 23. Szlaczek wyszyty na złączeniu części serwety ryc. 22.

włóczką trzeci jasny filozelą. Środek kwadratu haftowany kolorem czarnym, żółtym i białym; przy ząbkach białych w górze dana zielona obwódka. Arabeski zakończające jakby krzyżyk w kwadracie są ponsowe. Gwiazdki łatwo narysować samej, licząc 22 centymetry średnicy a 70 centymetrów obwodu; jak to widać na rycinie 18 środeczek gwiazdki 7 centy- średnicy podzielony jest czarnym jedwabiem na 12 kwaterek, zapełnionych dwoma cieniami zielonemi. Poza tym środkiem znowu powtarza się podział na dwanaście kwaterek obwodzonych białym a wyszytych zielonym i ponsowym. Rycina 17 przedstawia część zęba z brzegu poprzecznego, obwodzonego włóczką kolorową, przyszywaną jedwabiem; każdy ząbek obwodzony innym kolorem. Skończone przykrycie podszewkuje się kolorową satynką.



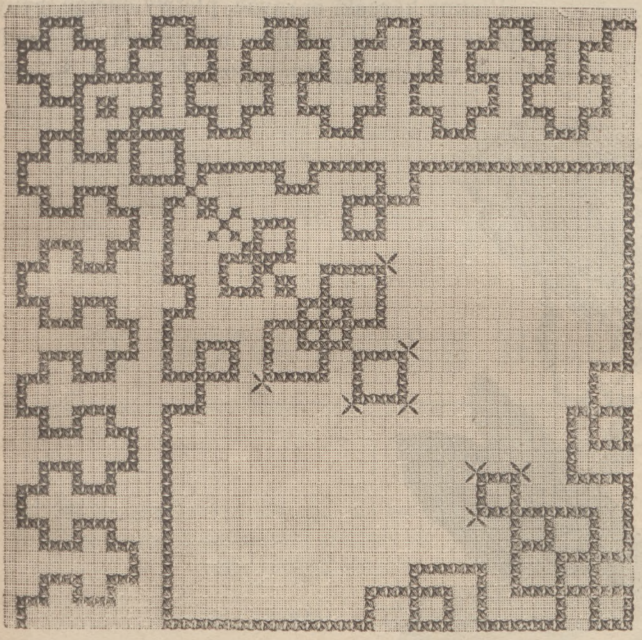
N. 22. Serweta z wyszyciem. Patrz ryc. 20—24.

N. 20—24. Serweta z wyszyciem.

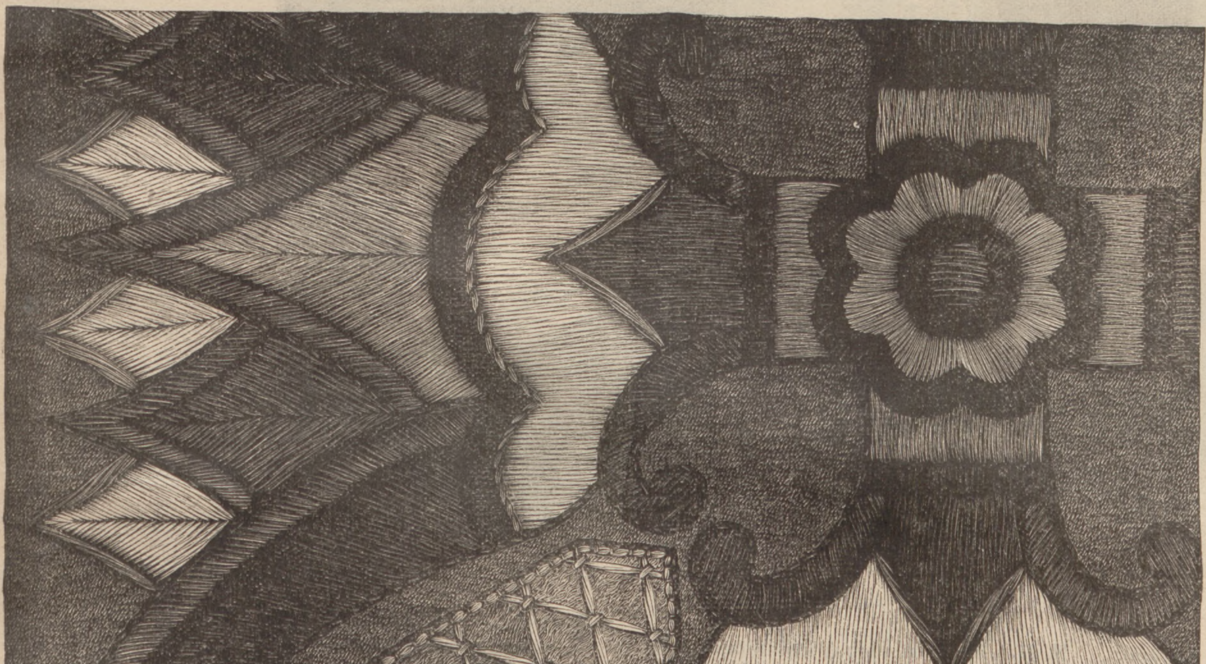
Model do ryciny 22 składał się z czterech serwetek lub ściereczek płóciennych w kratę ponsową, po 73 centymetrów w kwadrat, i ozdobiony był wyszyciem na środku i wokoło brzegów. Rycina 20 przedstawia próbkę tła z wązkim szlaczkiem, wyszytym ściegiem luźnym bawełną ponsową a rycina 24 daje deseń wyszycia (czwartą część); każden krzyżyk oznacza gwiazdeczką a gwiazdka zapełnia jedną kratkę tła. Brzegiem gwiazdek dodaje się po dwa luźne ściegi, przez co tworzy się jakby kratka (patrz rycina 20); na gładkiem tle trzeba przy wyszyciu podkładać kanwę. Skończywszy wyszycie na czterech częściach oddzielnych, łączy je się ze sobą, zakładając brzegi pod spód, następnie dopasowawszy równo i sfastrygowawszy, zeszywa się szlaczkiem z długich luźnych ściegów, podług ryciny 23. Brzegi serwety wycięte w ząbki odziergane ponsową bawełną podług ryciny 21; przy brzegach prostych niewycinanych w ząbki trzeba dać koronkę klockową lub szydełkową, odrobnioną z bawełny białej i ponsowej.



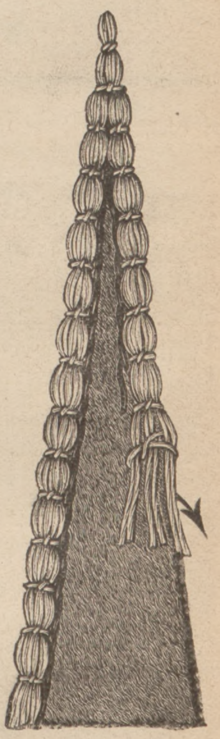
N. 18. Przykrycie na pianino. Patrz ryc. 17 i 19.



N. 24. Czwarta część deseniu do ryc. 22.



N. 19. Haft szwedzki do ryc. 18. Patrz ryc. 17.



N. 17. Obwodzenie brzeżne zęba do ryc. 18.

N. 25—26. Kapelusz podpięty piórami.

Zupełnie płaski okrągły fasonik pokryty popielatym aksamitem danym na środku gładko, zfałdowanym na główce. Aksamitne końce po 7 centymetrów szerokie, przechodzą wierzchem kapelusza, przytrzymane z przodu ozdobną klamrą, a z tyłu spadające poza rondo i związane w kokardę pod brodą. Oryginalne przybranie, bardzo robiące do twarzy, składa się z krótkich popielatych strusich piórek, przytwierdzonych na pasku aksamitnym 2 centymetry szerokim w ten sposób, że z przodu nad czołem dane najdłuższe piórka, do tyłu zaś stopniowo coraz krótsze.

N. 27. Kapelusz okrągły zdobny kwiatami.

Główka czarnego filcowego fasonika przykryta jest 24 centymetrów szerokim skosem aksamitu ciemno heliotropowego, zfałdowanego w bufę. Rondko z przodu 14, z boków 7, z tyłu 8 centymetrów szerokie. Dwa bukiety kwiatów azalii koloru heliotropowego do cieniu zdobią kapelusz, przypięte podług ryciny 27.

N. 28. Kapelusz okrągły z wązko odwiniętem rondkiem.

Czarny aksamitny kapelusz ma rondko 6 centy-

szerokie, wokoło brzegów wązko odwinięte. Na główce 7 centymetrów wysokiej sfałdowany aksamit łososiowego koloru. Z tyłu pęczek piór czarnych, przypięty aksamitnym węzłem.

Przepisy gospodarskie.

Szczupak z włoszczyzną.

Ogolić lub oskrobać czysto szczupaka, sprawić, pokrajać w dzwona, posolić solą prażoną na kilka godzin; tymczasem obrać i nakrajać w talarki, lub podłużnie wszelkiej włoszczyzny, zamiast kartofli, użyć bulwy: włożyć ją w rondel, dodać parę łyżek masła, kubek zimnej wody, włożyć w to szczupaka, gotować przez dobry kwadrans, poczem wydobyć rybę na półmisek, włoszczyznę zaś dopóty jeszcze gotować, aż zupełnie zmięknie. Utrzéć na masę łyżkę masła, tyleż mąki, 2 żółtka surowe, pół łyżki dobrej oliwy, trochę siekanej pietruszki i kwiatu muszkatołowego; zmięszać z włoszczyzną w rądlu, rozebrać filiżanką odwaru korzennego, albo rosołu postnego, zagotować, włożyć w to na chwilę szczupaka; gdy się zagotuje, wydać na stół, ułożywszy szczupaka pięknie na półmisku. Sól do solenia ryb praży się na patelni; na którą należy wsypać taką ilość soli, jaka do solenia ryb ma być użyta, postawić na wolnym ogniu, i ciągle mięszać, dopóki nie zacznie chrupać, albo cokolwiek żółknąć.



N. 25—26. Kapelusz podpięty piórami. N. 27. Kapelusz zdobny kwiatami. N. 28. Kapelusz z wązko odwiniętem rondkiem.

Karp' na szaro.

Karpia ani tak mocno nie soli, ani tak długo jak szczupaka w soli się nie trzyma; oskrobany zaś, winien być należycie wypłókany. Po wyprawieniu, unika się płókania, najsmaczniejszy jest bowiem, gdy z krwią idzie do gotowania. Karpia, jak każdą inną rybę, należy gotować razem z włoszczyzną, nalawszy zimną wodą; bo tak gotowana ryba nierozgotowuje się tak prędko. Kiedy się karp' stawia na ogień, należy namoczyć miodowniku spory kawałek w occie, rozcierając często aby się rozpłynął. Gdy karp' będzie ugotowany, wyjąć go, sos przecedzić do innego rądla, wlać roztarty miodownik; wrzucić dużych opłókanych rodzenków, migdałów słodkich szatkowanych, cytryny w plasterki, cukru kawałek, zagotować, gdy sos będzie zawiesisty, włożyć do niego karpia, aby się dobrze rozgrzał, można gdy kto chce, podlać go winem.

Lin duszony z formy.

Sprawionego lina opłókać należycie pokrajać w dzwona, posolić i postawić, aby nasłoniał. Tymczasem wziąć mleczko i wątróbkę wyjętą z lina, obgotować, potem rozetrzéć, wbić parę jaj, bułki tartej, dodać korzeni, dobrze wymięszać: na spód rądla włożyć sporo masła, ułożyć dzwona lina, a na nich farsz przyrządzony, potem znów lina, a na nim farsz, i tak warstwami układać aż do napełnienia rądla. Na wierzch przyłożyć jeszcze masła, przykryć i postawić na węglach, dusić powoli, zalać trochę postnego rosołu, lub smakiem z włoszczyzny, zaprawić karmelem z kawałka cukru i dusić, dopóki na stół się nie wyda. Wydając należy go tak wyłożyć jak z formy, polać sosem słodko octowym.

Karasie ze śmietaną.

Piękne karaski oprawić, pletwy odciąć, ryby wypłókać i posolić, kilka mniejszych ociągnąć w słonej wodzie; ugotowawszy 3 lub 4 jaja na twardo, zebrać mięso z małych obciągniętych karasków, usiekać bardzo drobno wraz z jajami, pieprzu, soli, jedno surowe jajko, 2 łyżki kwaśnej śmietany, ułożyć w rądel, dodać kawałek masła, i białej cebuli pokrajanej w krążki, przydać całe karaski, nalać to wszystko śmietaną, postawić na ogniu, dusić zwolna przez małe pół godziny, po ugotowaniu wyłożyć karaski na półmisek, odrzuciwszy cebulę, resztą polać ryby i wydać.



N. 29. Plecy do ryc. 2.
N. 30. Plecy do ryc. 3.



N. 31. Przód do ryc. 5.